MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 18. WARSZAWA, 17 KWIETNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO KONFERENCJI LONDYŃSKIEJ

KONEFRENCJA londyńska przedstawicieli czterech mocarstw — Anglji, Francji, Niemiec i Włoch — zakończyła się pełnem niepowodzeniem.

Inaczej być nie mogło. Plan francusko-angielski ratowania pięciu państw naddunajskich mógł był być urzeczywistniony, gdyby w grę wchodziły li tylko interesy gospodarcze, był zaś zgóry skazany na niepowodzenie naskutek sprzeczności interesów politycznych wśród wielkich mocarstw europejskich.

Przesłanki gospodarcze bowiem sanacji stosunków w Europie środkowo-wschodniej są zupełnie sensowne. Obszar to przeważnie rolniczy, gdyby więc podnieść poziom wytwórczości rolniczej, a przez to wydajność ziemi i zdolności nabywcze ludności rolniczej, to przemysł krajów zachodnich, mocno zindustrjalizowanych, znalazłby rozszerzone rynki zbytu i lepsze zaopatrzenie w środki spożywcze dla ludności zatrudnionej w przemyśle. Anglja i Francja dostarczyłyby kapitałów, Niemcy i Włochy aparatu przemysłowego, współpraca tych dwóch czynników dałaby bardzo pomyślne wyniki.

Wszystko byłoby tedy bardzo pięknie, gdyby nie polityka, to znaczy gdyby Europa środkowowschodnia nie była zaludniona przez szereg historycznych narodów, mających swe odrębne dążenia i interesy duchowe, gdyby nie to, że wielkie mocarstwa mają różne poglądy na kierunek rozwoju tych narodów, granice obszarów ich rozsiedlenia i stopień niezależności. Interesy polityczne Polski, Rumunji, Czechosłowacji, Jugosławji, Węgier, Austrji i Bułgarji sprawiają, że rozwiązanie trudności gospodarczych nie jest wcale tak proste. Interesy polityczne Anglji, Francji, Niemiec i Włoch przeszkadzają zaś tym mocarstwom w porozumieniu się i współpracy gospodarczej na terenie Europy wschodniej.

Możnaby napisać całą rozprawę, jeśli nie księgę, gdyby się chciało szczegółowo zanalizować te różne interesy, uzasadnić ich realizm oraz konieczność istniejących różnic i sprzeczności. Są to różnice równie istotne, choć niewidzialne, jak różnice w ukształtowaniu się powierzchni krajów, biegu rzek, fauny czy flory... Licząc się z miejscem, musimy się ograniczyć do wskazania tego, co we współczesnej chwili dziejowej stanowi istotę sporu, co dzieli wielkie i małe państwa na dwa stojące naprzeciw siebie, wyraźnie się odcinające obozy.

W artykule wstępnym „*Frankfurter Zeitung*" z dn. 8 kwietnia znajdujemy takie zdanie: „Na konferencji londyńskiej chodzi o to samo, o co chodziło i chodzić będzie na wszystkich przeszłych i przyszłych konferencjach. Czy się chce zlikwidować wojnę, czy też jej się zlikwidować nie chce? To, co widzimy w Europie południowo-wschodniej, jest li tylko miniaturą tego, co się dzieje w całej Europie". Trudno o jaśniejsze ujęcie sytuacji. Niemcy i państwa ich obozu uważają, że przyczyną wszystkiego złego w świecie jest zwycięstwo aljantów w roku 1918 i—będące następstwem tego zwycięstwa — nowe urządzenie Europy przez traktaty roku 1919. Niemcy chcą powrotu do granic z roku 1914, chcą przekreślenia wyników wojny i traktatów.

Dla państw zaś, które z wojny i zwycięstwa aljantów powstały lub naskutek tego zwycięstwa się rozszerzyły, dla narodów, które dzięki wojnie uzyskały zjednoczenie i niepodległość, jest nowy,

powojenny układ stosunków podstawą ich bytu i trwania, podstawą ich rozwoju i ich polityki. Narody, dla których to, co zdobyły w r. 1919, jest potrzebne jak powietrze i woda do życia, nie wyrzekną się i wyrzec się nie mogą swych terytorjów, będą się tedy broniły wszelkiemi środkami, nie wyłączając ostatecznych. Wśród wielkich państw zachodnich ma przedewszystkiem Francja interes żywotny i decydujący w tem, by Europa nie powróciła do stanu z roku 1914, bo następstwem niechybnym tego powrotu byłby z czasem nowy atak Niemiec nad Renem.

Czyż może ktoś myślący historycznie przypuszczać, że narody Europy poświęcą swe istotne, wieczne interesy polityczne (to znaczy interesy wynikające z faktu życia) dlatego, by ulżyć swemu położeniu gospodarczemu, materjalnemu? Kto tak myśli, ten się łudzi głęboko i niebezpiecznie!

Jest, krótko i dosadnie mówiąc, dowodem perfidji ze strony jednych, a bezdennej naiwności ze strony innych, gdy się w imię „współpracy“ gospodarczej nawołuje do poniechania sporów politycznych. Przykład: proszę zaproponować Polsce wyrzeczenie się Pomorza, Górnego Śląska i Poznania, powołując się na to, że to uzdrowi stosunki gospodarcze w Europie i w Polsce samej...

Wobec wskazanego powyżej, istotnego problemu polityki europejskiej różne państwa i różne czynniki pozapaństwowe mają swoją wyraźną politykę.

Mają przedewszystkiem taką politykę Niemcy. Nie pragną one wcale uporządkowania stosunków gospodarczych w Europie środkowo-wschodniej. Co więcej — załamanie się gospodarcze tej części naszego kontynentu służyłoby ich celom politycznym. Jest dziś całkiem oczywiste, że Niemcy przewidują, iż załamanie się gospodarcze nowych i odnowionych państw Europy wschodniej będzie początkiem i punktem wyjścia załamania się całej budowy politycznej w tej części naszego kontynentu. Zwracamy z naciskiem uwagę czytelnika na fakt powyższy. Nietylko „*Anschluss*“ rysuje się w wyobraźni polityków niemieckich za katastrofą gospodarcza czy finansową Austrji i Węgier, lecz scalenie Węgier i rozbiór Polski. Jakże tedy można przypuszczać, że pójdą one na ratowanie państw naddunajskich i temu podobne projekty, które godzą w ich najżywotniejsze, historyczne interesy?

Mają swoją politykę „sfery gospodarcze“, wielkie finanse i to wszystko, co z niemi jest związane lub co reprezentują. Polityka ta idzie po tej samej linji, co polityka niemiecka. Bo dla sfer tych nietylko obojętne, lecz wprost szkodliwe i wstrętne są te wszystkie dążenia, które nakazują państwom Europy środkowo-wschodniej bronić swych interesów historycznych, narodowych, a Francji liczyć się ze względami politycznemi, gdy chodzi o Europę wschodnią. Z tych „sfer“ idą hasła o rozbrojeniu, o współpracy gospodarczej, o zniesieniu granic celnych, o rewizji traktatów, o „nowej“ dyplomacji i t. d.

A że sfery te wespół z wolnomularstwem mają po ężne jeszcze wpływy we wszystkich państwach, po obydwu stronach barykady, więc przyczyniają się znakomicie do zaciemnienia wzroku politycznego oraz do zamącenia polityki tych państw, które są zainteresowane w utrzymaniu układu i porządku, wprowadzonego w Europie przez traktaty z roku 1919—20. Następstwem oddziaływania tych czynników są wahania i wyraźna dwoistość w polityce francuskiej, one są rzecznikami współpracy francusko - niemieckiej...

Zdawałoby się, że obok tych dwóch systemów politycznych — niemieckiego i genewsko-lokarneńskiego, które w gruncie rzeczy zmierzają do jednego i tego samego celu: zniweczenia zwycięstwa z roku 1918 i przywrócenia stanu przedwojennego w Europie, powinien istnieć system trzeci — zdecydowanej, integralnej obrony interesów tych państw, których istnienie zależy od utrzymania powojennego układu terytorjalnego w Europie. W systemie tym miejsce centralne zajmować powinna Polska, jako filar podtrzymujący sklepienie nowej Europy.

Otóż wypada stwierdzić, że system taki nie istnieje. Wypadki ostatnich miesięcy dają na to cały szereg dowodów. Pozostanie Polski poza nawiasem projektów naddunajskich jest ostatnim i jaskrawym.

Najbliższe miesiące przyniosą wydarzenia wielkiej doniosłości. Wybory do sejmu pruskiego (24 kwietnia) zmienią układ sił politycznych w Niemczech, wybory we Francji (8 maja) wzmocnią zapewne wpływy lewicy na politykę francuską; rozpoczęła się konferencja rozbrojeniowa, brzemienna wielkiemi niebezpieczeństwami; są zapowiadane katastrofy gospodarcze w Europie wschodniej; z obawą patrzą wszyscy na to, co przyniosą na jesieni wieści z Ameryki Północnej...

Polska ma wszystkie objektywne warunki, by się ostać w chaosie wydarzeń, lecz warunkiem wyzyskania sprzyjających warunków jest posiadanie własnej, świadomej i niezależnej polityki i konsolidacji wewnętrznej, będącej podstawą wszelkiej akcji politycznej nazewnątrz. Myśl polityczna polska musi wykazać inicjatywę twórczą, Polska powinna się stać ośrodkiem krystalizacyjnym sił, które się przeciwstawią zarówno polityce niemieckiej, jak polityce pozapaństwowych czynników, które — jak to już powiedzieliśmy — idą po jednej linji politycznej z Niemcami i działają dziś hamująco i rozkładająco w łonie tych państw i narodów, dla których nowy układ terytorjalny w Europie powojennej jest warunkiem bytu i rozwoju.

STANISŁAW KOZICKI

KRYZYS ROLNY W ŚWIECIE I W POLSCE

JEST rzeczą dziś już niemal bezporną, że istotę obecnego światowego kryzysu rolnego stanowi zachwianie się równowagi pomiędzy cenami artykułów rolnych, a kosztami ich produkcji. Różnice zdań powstają dopiero, jeśli chodzi o pytanie, co jest źródłem tego zachwiania się równowagi. W tej dziedzinie spotykamy się z szeregiem poglądów, zmierzających do wyjaśnienia sprawy.

Najczęściej spotykanym sposobem wyjaśniania przyczyn kryzysu jest pogląd, że źródłem przesilenia jest spadek cen ziemiopłodów, wywołany zachwianiem się równowagi pomiędzy rozmiarem ich produkcji, a spożycia. To zachwianie równowagi pochodzi ze znacznego wzrostu rozmiarów światowej produkcji ziemiopłodów, większego od wzrostu ludności na świecie oraz jednoczesnego nieznacznego spadku spożycia zboża na głowę ludności. Pogląd ten, zupełnie słuszny, nie wyjaśnia istoty sprawy. Bo przecież z jednej strony rozmiar produkcji nie tylko ziemiopłodów, ale i szeregu innych artykułów wzrósł znacznie w stosunku do okresu przedwojennego. Tak np. światowa produkcja nafty w latach 1926-30 wzrosła w stosunku do 1913 r. o 238.8%. produkcja stali o 35.5%, aluminjum o 237.5% papieru o 63.6%, gdy tymczasem produkcja pszenicy wzrosła w tym samym okresie tylko o 15.3%, Mimo to spadek cen ziemiopłodów poprzedził spadek cen artykułów przemysłowych i przybrał znaczniejsze rozmiary, niż spadek cen artykułów przemysłowych. Zachwianie się więc równowagi pomiędzy produkcją, a spożyciem ziemiopłodów pochodzić musi stąd, że wzrost absolutny ich spożycia był mniejszy od wzrostu ich produkcji, co z kolei rzeczy wywołane było spadkiem spożycia zboża na głowę ludności. I tu dochodzimy do punktu najciekawszego, który zupełnie nie zostaje wyjaśniony przez tych, co źródło światowego kryzysu rolnego upatrują jedynie w zachwianiu się równowagi pomiędzy produkcją, a spożyciem ziemiopłodów. Dlaczego, mimo zwiększenia się produkcji, spożycie światowe ziemiopłodów wzrosło jedynie nieznacznie, gdy przecież nawet w okresie najpomyślniejszym spotykamy w niektórych częściach świata setki tysięcy ludzi głodnych, a o wiele więcej ludzi, których pożywienie jest niedostateczne?

Wytłumaczenie tego zjawiska usiłuje dać prof. Taylor w artykule swym „Istota kryzysu światowego“ wydrukowanym w Nr. 4 „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego” z ubiegłego roku. Opiera się on na teorji Marshall'a o t. zw. elastyczności popytu. Stosownie do tej teorji nazywamy popytem elastycznym taki, przy którym każda zmiana ceny wywołuje więcej niż proporcjonalną zmianę popytu, odwrotnie zaś, sztywnym, gdy zmiana popytu jest mniej niż proporcjonalna. Otóż popyt na produkty rolnicze, szczególnie roślinne jest znacznie mniej elastyczny, niż popyt na towary przemysłowe. Dlatego też, gdy ogólna produkcja wszystkich artykułów stale wzrastała, musiało nastąpić załamanie się cen artykułów rolniczych, jako tych, których popyt jest bardziej sztywny.

Inną teorję, mającą wytłumaczyć załamanie się cen artykułów rolniczych, podaje prof. Rybarski w artykule „Ceny w przemyśle, a ceny w rolnictwie“, umieszczonym Nr. 2 „Rolnika Ekonomisty“, a przed nim na tem samem stanowisku stali p. Ad. B w „Myśli Narodowej“ i p. M. Zalewski również w „Rolniku Ekonomiście“. Teorja ta opiera się na tem, że w dzisiejszem gospodarstwie społecznem mamy do czynienia z dwojakim sposobem kształtowania się cen. Z jednej strony ceny artykułów, których produkcja i zbyt są skartelizowane, w dużym stopniu są zależne od polityki, uprawianej przez kartel, który w pewnym stopniu może je kształtować, natomiast cena pozostałych artykułów kształtuje się według prawa podaży i popytu. Do tych ostatnich należą wszystkie artykuły, produkowane przez rolnictwo, gdyż produkcja rolna nie da się skartelizować. Wtedy więc, gdy jak w dobie dzisiejszej następuje powszechne zwiększenie się produkcji, musi nastąpić przedewszystkiem załamanie się cen artykułów, których produkcja nie jest skartelizowania, a więc artykułów rolniczych. Ceny artykułów skartelizowanych jeszcze przez dłuższy czas mogą stawiać opór powszechnej zniżce cen.

Spadek cen ziemiopłodów nie da się jednak sprowadzić do jednej jakiejś przyczyny, lecz jest wynikiem całego kompleksu zjawisk. Czynnikiem decydującym okaże się tu błędna ideologja gospodarcza, która doniedawna niepodzielnie panowała w świecie, a dziś jeszcze bardzo szeroko jest rozpowszechniona. Ideologja ta uważała całe gospodarstwo światowe jako jednolitą całość. Według niej rynki całego świata miały stać otworem przed produkcją każdego kraju. W myśl tych haseł, poszczególne kraje zaczęły produkować różne artykuły, które miały zaspokoić zapotrzebowanie na nie, jeśli już nie całego świata, to przynajmniej całych kontynentów. W imię tych haseł rozwijała się produkcja rolna takich krajów zamorskich, jak Kanada, Stany Zjednoczone, Argentyna i Australja, zwłaszcza odkąd postęp techniki rolniczej, o którem obszernie pisał p. Stanisław Gryziewicz w „Rolniku Ekonomiście“ ubiegłego roku, pozwolił na znaczne rozszerzenie produkcji. Lecz wiara w fałszywe ideały tylko do czasu pozwalała na pomyślny rozwój tak pojętej produkcji. Wkrótce musiało się okazać, że istnieją granice celne, że zwłaszcza wtedy, gdy produkcja niektórych krajów będzie szybko wzrastała i zacznie zagrażać produkcji krajów pozostałych, te ostatnie będą w celu ratowania własnego gospodarstwa narodowego wydatnie podwyższać stawki celne, choćby nawet spożycie w tych krajach danego artykułu było niedostateczne.

Okazało się również, że są kraje biedne, gdzie spożycie artykułów żywnościowych nie odpowiada potrzebom ludzkim, a które nie mają za co nabywać będących gdzieindziej w nadmiarze, a wobec tego niezwykle tanich środków żywności, zaś brak pewności w stosunkach międzynarodowych nie pozwala oprzeć tych tranzakcyj na kredycie. Skutkiem więc tego musiała nastąpić nadprodukcja ziemiopłodów w krajach zamorskich, będących wielkimi eksporterami tych ziemiopłodów. Tam, ale tylko tam, musiało zacząć działać prawo Marshalla o t. zw. elastyczności popytu. Może ono bowiem działać tam, gdzie spożycie artykułów żywnościowych osiągnęło pewne *minimum*, zależne zresztą od zwyczajów, panujących w danem społe-

czeństwie. Jeśli chodzi bowiem o jednostki, które się odżywiają w sposób niedostateczny, a więc i o kraje, w których te jednostki stanowią znaczny odsetek ludności, spadek ceny musi wywołać conajmniej proporcjonalny wzrost zapotrzebowania, a więc prawo Marshall'a w tych warunkach nie działa. Oczywiście spadek cen ziemiopłodów, a w konsekwencji i innych artykułów rolnych, w krajach będących ich głównymi producentami, musiał wywołać spadek cen we wszystkich krajach, w których ziemiopłody nie korzystały z ochrony celnej lub tam, gdzie ta ochrona celna była niedostateczna.

Spadek cen artykułów rolnych dałby się powstrzymać, w każdym razie na pewien czas, a bezwątpienia nie byłby tak gwałtowny, gdyby artykuły rolne należały do tych, których produkcja jest skartelizowana. Produkcja jednak i zbyt artykułów rolnych nie dadzą się ująć, jak to wskazuje prof. Rybarski, w tak ścisłe formy, jak to ma miejsce w stosunku do szeregu artykułów przemysłowych. Kształtowanie się zaś cen artykułów rolniczych i przemysłowych na zupełnie innych zasadach musi doprowadzić przy każdem załamaniu się cen artykułów rolnych do poważnego kryzysu rolnego.

Obecny światowy kryzys rolny nie jest kryzysem, który może być szybko zlikwidowany, co oczywiście nie wyklucza pewnych wahań, zmierzających bądź do częściowej i przejściowej poprawy, bądź do dalszego pogłębienia się kryzysu. Pochodzi to z całego szeregu przyczyn. Jakeśmy to już wyżej zaznaczyli, pierwszem źródłem kryzysu jest fakt, że gospodarstwo światowe nie jest jednolitym rynkiem, na którym możnaby było sprzedawać towary, niezależnie od kraju, z którego one pochodzą. Obecnie zaś jesteśmy u początku wielkiego procesu, którego skutkiem będzie coraz to dalsze rozluźnianie się węzłów, spajających gospodarstwo światowe, będzie coraz dalej idące zamykanie się w sobie poszczególnych gospodarstw narodowych. Musi dojść do powolnej może, lecz stałej likwidacji nietylko, jak to stwierdza Dmowski, wielkiej produkcji przemysłowej, mającej zaopatrywać w poszczególne artykuły rynki całego świata, ale i produkcji rolniczej szeregu krajów zamorskich, nastawionej na rynki światowe. Wobec tego jest rzeczą jasną, że jesteśmy w obliczu długotrwałego kryzysu rolnego w tych krajach zamorskich, zmuszonych do przestawiania swej produkcji rolniczej z rynków światowych na rynki wewnętrzne.

Fakt ten, a również to, że kraje zamorskie mają znacznie niższe koszty produkcji, będzie miał za skutek niskie ceny artykułów rolnych na rynkach światowych, a więc długotrwały kryzys rolniczy we wszystkich tych krajach, w których ceny płodów rolnych będą się kształtować według cen na rynku światowym. Istnienie karteli przemysłowych, które przecież nie będą w tak szybkiem tempie zlikwidowane, nie pozwoli na obniżenie kosztów produkcji w przemyśle i na ustalenie jakieś nowej, na właściwych zasadach opartej równowagi między cenami płodów rolnych, a ich kosztami produkcji. Te wszystkie przyczyny nie pozwalają się łudzić i nie pozwalają łudzić innych, że światowy kryzys rolniczy może być szybko zlikwidowany.

A w takim razie pozostaje jedno, co zresztą jest wyjściem naturalnem dla każdego narodowca: szukanie dróg wyjścia z tej matni, w którą wpędzono gospodarstwo światowe, nie oglądając się na to gospodarstwo światowe, co tem bardziej jest słuszne, że obok oddziaływania przyczyn światowych, mamy do czynienia z przyczynami, wynikającemi ze specjalnych warunków, istniejących w Polsce.

Chodzi mianowicie o niedomagania ustroju polskiego gospodarstwa narodowego, będące wynikiem tego, że byliśmy w ciągu stukilkudziesięciu lat pozbawieni własnego państwa, a ziemie nasze wchodziły w skład trzech obcych państw. Skutkiem tego z jednej strony nasze gospodarstwo narodowe nie jest w tym sensie całością jednolitą i sharmonizowaną, jak gospodarstwa narodowe tych społeczeństw, które bez przerwy posiadają własne państwa, z drugiej zaś strony brak własnej polityki gospodarczej doprowadził do tego, że szereg zagadnień i niedomagań, dotyczących budowy naszego gospodarstwa społecznego, nie został w planowy sposób rozwiązany. Tego rodzaju niedomagania spotykamy również, jeśli chodzi o rolnictwo. Tak więc rolnictwo naszych ziem zachodnich, przyzwyczajone do wyjątkowo korzystnych warunków, jakie miało przed wojną w państwie niemieckiem, nie może się przystosować do trudnej sytuacji dzisiejszej. Utrata rynków zbytu w przemysłowych Niemczech, zmiana dotychczas bardzo korzystnego stosunku między cenami artykułów rolnych a przemysłowych, a więc korzystnego stosunku między cenami artykułów rolnych, a kosztami ich produkcji, wreszcie duże wahania cen na artykuły rolne, przed wojną względnie stałych — oto objawy tej niekorzystnej przemiany. Jeśli chodzi o rolnictwo pozostałych ziem polskich, to tam niedomagania w ustroju rolnym są przedewszystkiem wynikiem braku racjonalnej polityki agrarnej. Rozdrobnienie gospodarstw rolnych, szachownica, brak meljoracyj, przeludnienie wsi, zwłaszcza w Małopolsce, duża ilość gruntów wspólnych, brak sieci komunikacyjnej — oto najcharakterystyczniejsze przejawy tego stanu.

Pierwszym więc celem polskiej polityki gospodarczej, zmierzającej do poprawy położenia naszego rolnictwa, jest naprawa ustroju rolnego w Polsce. Obok zaś tego niezwykle ważnem zadaniem jest właściwie ustalenie stosunku cen artykułów rolnych i przemysłowych, to znaczy stosunku cen artykułów rolnych i kosztów ich produkcji. Będzie to jednak możliwe tylko wtedy, jeśli będziemy prowadzili politykę nie podwyższania cen artykułów rolnych, lecz zniżenia kosztów ich produkcji, a więc obniżenia cen artykułów przemysłowych. Prowadzi to w konsekwencji, jak tego dowiódł w cytowanym przez nas artykule prof. Rybarski, do tego, by kształtowanie się cen artykułów przemysłowych odbywało się na tych samych zasadach, co kształtowanie się cen artykułów rolnych, a więc do konieczności likwidacji karteli i trustów.

Widzimy więc, że polityka gospodarcza polska, chcąc przezwyciężyć trwający kryzys rolniczy, musi ogarniać szerokie dziedziny życia gospodarczego. Jest to więc polityka, wymagająca dużych wysiłków i konsekwencji działania. Jest to polityka, która na swej drodze znajdzie bardzo dużo trudności. Cel swój jednak osiągnąć będzie mogła tylko wtedy, gdy przestanie się oglądać na innych i rozwiązanie trapiących nas niedomagań widzieć będzie we własnem działaniu społeczeństwa polskiego.

J. PRUS

GOETHE — MISTRZ ŻYCIA

Z POWODU obchodu stulecia zgonu Goethe'go wypowiedziano o nim mnóstwo szczytnych ogólników — zresztą w większości słusznych. Między innemi podziwiano go jako mistrza życia, jako jego niezrównanego artystę. Przedmiotem tego artyzmu życiowego była jego dusza, jego osobowość, o której rozwój, zgodny z własną naturą oraz powołaniem, nieustannie dbał, trudził się i walczył wielki poeta. Dziś podziwiają ludzie ten jego wysiłek całego długiego żywota, którego wynikiem jest, że na Goethe'go patrzymy obecnie jako na wzór najpełniejszego rozwoju osobistości ludzkiej. (Tak zresztą patrzano na niego i kilkadziesiąt lat temu, jak można wnosić z tego, co o Goethem mówił R. W. Emerson i inni).

Przejęci podziwem dla powyższego mistrzowstwa niezbyt zastanawiają się nad tem, że nie zawsze szło ono w parze z tem wysokiem człowieczeństwem, którego Goethe był wyrazicielem, że często wygląda z poza niego najpospolitszy egoizm, nie liczący się z nikim i z niczem.

Mądrości praktycznej Goethe'go poświęcił bardzo ciekawe studjum w *„Revue des deux Mondes"* p. Robert d'Harcourt (p. zeszyt z 15-go marca: *„La sagesse pratique de Goethe"*), w którem „mądrość" ta znalazła należyte oświetlenie.

Mądrość praktyczna Goethe'go wyrażała się przedewszystkiem w stałej obronie swego życia wewnętrznego, w obronie tego dzieła, które było w nim zawarte, przed wszelkiemi zamachami z zewnątrz. Bronił więc naprzód swego czasu, jako warunku zasadniczego wszelkiego dzieła ludzkiego; wogóle trwonienie czasu przejmowało go szczerem oburzeniem. Dalej uważał, iż *maximum* wydajności pracy w danym momencie czasu da się osiągnąć tylko przez utrzymanie we wszystkich sprawach życia surowego ładu, którego namiętność, jak świadczą współcześni, posuwał do ostatecznych granic. Jedną z postaci tego kultu ładu jest oszczędność, którą Goethe tak był przejęty w ciągu życia swego, że na starość przeszła ona u niego w skąpstwo. Poczucie wartości czasu oraz ładu w życiu określało jego stosunek do świata zewnętrznego. „Kto chce zrobić cokolwiek dla świata"—powiadał—„powinien czuwać, żeby on nie zapanował nad nami". Odsuwał od siebie wszelkich natrętów, wszystkich tych, co zabierali mu czas i burzyli ład życia. „Wizyty"—twierdził—„służą tylko do obudzenia w nas myśli obcych, których wcale mi nie trzeba. Mam dość własnych, z któremi nie mogę nieraz sobie poradzić".

Jak bronił swego czasu, tak też ochraniał swoją wrażliwość, świadomie stosując, zwłaszcza do intruzów, ciekawych i snobów, wyniosłą oziębłość. „Każde słowo w jego ustach, jest kawałkiem lodu"—powiadano o nim. Taktyką jego było usuwać z rozmowy wszelką treść zajmującą, żeby odstręczyć ludzi od dłuższej z nim konwersacji. Skupiając duchowe siły swoje dla celów twórczych, unikał tego wszystkiego, co mogło je rozstroić i zużyć na sprawy znikome. Unikał nadewszystko wstrząsających wzruszeń, stronił od widoków cierpienia. Tak np. niechciał widzieć synowej swojej, Otylji, gdy ta, z powodu nieszczęśliwego upadku, zraniła sobie twarz. Po śmierci Wieland'a tak się zwierzał przed Falk'iem: „Po co mam pozwolić na zniszczenie miłego wrażenia, jakie przechowuję o rysach moich przyjaciół oraz moich przyjaciółek. Starannie unikałem oglądania Herdera, Schillera czy też księżnej — matki Amelji, pomiędzy deskami trumny. Śmierć jest złym portrecistą. Wolę zachować w mojem wspomnieniu obraz, w którym będzie więcej duszy, niż w smutnych maskach, jakie nam pozostawia".

Systematycznie unikał przykrych wzruszeń, wprost uciekał od nich, i to nieraz w okolicznościach, w których elementarnym obowiązkiem serca jest poddać się ich działaniu. Tak np. kiedy zbliżała się chwila rozwiązania jego żony, Krystjany, uciekł do Jeny i powrócił w kilka dni potem, gdy już w domu powróciło wszystko do zwykłego ładu. Gdy żona jego umierała, położył się do łóżka, by uniknąć widoku śmierci, i notował w swoim pamiętniku: „Spałem dobrze. Czuję się o wiele lepiej. Zbliża się chwila zgonu mojej żony. Zmarła w południe. Dokoła mnie pustka i milczenie śmierci. Wjazd trjumfalny do miasta księżniczek Idy i Bernhardy. Meyer i Rienier odwiedzili mnie. Wieczorem, wspaniała iluminacja miasta. Żonę moją przewieziono do domu zmarłych. Dzień cały pozostaję w łóżku". O tem, jak umierała żona Goethe'go, pisze w tym samym czasie Adela Schopenhauer: „Śmierć biednej żony Goethe'go była tak okropna, że o czemś podobnem nigdy nie słyszałam. Osamotniona i oddana pielęgniarkom bez serca, umarła prawie bez opieki. Żadna ręka przyjazna nie zamknęła jej oczu. Syna nie można było zdecydować, żeby był obecny, Goethe zaś nie miał odwagi".

Podobnież zachował się wobec śmierci pani v. Stein, która była przez długie lata jedną z licznych jego kochanek, i nie małą rolę odgrywała w jego życiu. W dzień jej pogrzebu czytał gazetę w swoim gabinecie; kiedy kondukt pogrzebowy przeciągał przed jego oknami, a sekretarz zwrócił mu uwagę, że to dzisiaj pogrzeb pani Stein, Goethe bąknął parę słów obojętnych i w dalszym ciągu czytał swój dziennik. Swój wstręt do wstrząśnień gwałtownych rozciągał Goethe także na dziedzinę życia narodowego. Kiedy, po wojnie oswobodzicielskiej, kłótnie wewnętrzne rozdzierały kraj, Goethe uznał, iż rola jego w Niemczech jest skończona i wycofał się z życia narodowego, co mu miano za złe. Z tego powodu pisał 1818 roku do A. Brentana: „Na moim porządku dziennym umieściłem następującą maksymę: w epoce, która nikogo nie oszczędza, przynajmniej siebie samego trzeba oszczędzać. Wśród ogólnej rozpaczy—toczmy naszą beczkę, jak Diogenes". Gdyby tego rodzaju strategję stosował w życiu zwyczajny śmiertelnik, nazwanoby go małodusznym egoistą, Goethe'go, przeciwnie, nazywają mistrzem życia. I słusznie—stosując bowiem tę strategję, zapanował nad życiem, zapanował nad tem wszystkiem, co mogło być przeszkodą w tworzeniu dzieł nieśmiertelnych, które były najwyższym celem jego żywota. Te dzieła właśnie są usprawiedliwieniem jego natury egoistycznej, na co zwykli śmiertelnicy powołać się nie mogą. Niektóre objawy bezwzględności natury Goethe'go niezupełnie odpowiadają wyobrażeniu naszemu o wysokiem człowieczeństwie, dzięki jednak tej bezwzględności wielki poeta osiągnął najpełniejszy może rozwój swojej osobistości, bez czego znowu nie byłoby jego wielkich dzieł.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

DWA DRAMATY O JUDASZU

(ROSTWOROWSKI — TETMAJER)

DOPIERO WIEK XIX, ze swoim psychologizmem, odkrył w sprawie Judasza problematy, a co za tem idzie i jakieś „okoliczności łagodzące". Przedtem stosunek doń był zupełnie jednolity jako do jednolitego, niedwuznacznego łotra. Dante w swem „Piekle" mieści Judasza w samej paszczy szatana, który go nieustannie kąsa i miażdży. A tymczasem, nam współczesny Andrejew, ryzykuje przez usta Judasza zdanie, że to właśnie on, Judasz, a nie Jan lub Piotr, zasiądzie po prawicy Syna Bożego. Nie tak daleko w rehabilitacji Judasza zaszedł był De Quincey, który przypuszcza, że Judaszem-zdrajcą powodowała chęć postawienia Chrystusa w takich okolicznościach, w jakich On — dotychczas w mniemaniu Judasza ociągający się z cudem — zmuszony byłby użyć całej Swej siły, aby na ziemię sprowadzić Królestwo Boże. Ta nadzieja zawiodła go — stąd rozpacz [1]).

Coprawda sama Ewangelja pozwala dopatrywać się w Judaszu natury problematycznej: „Wówczas Judasz, zdrajca Jego, widząc, że Go skazano, żalem zdjęty, odniósł przedniejszym kapłanom trzydzieści srebrników, mówiąc: Zgrzeszyłem, wydając krew niewinną! Ale oni powiedzieli: Co nam do tego? Twoja to rzecz! Wrzucił więc srebrniki do przybytku, odszedł i powiesił się" (Mat. 27, 3—5). Słowa „widząc, iż Go skazano, żalem zdjęty" nawet ks. Szczepański w swem tłumaczeniu Pisma św. komentuje (str. 186): „że Żydzi wydadzą Chrystusa — tego się widocznie Judasz nie spodziewał".

W naszej literaturze — prócz wspaniałego poematu Kasprowicza — zajęli się Judaszem Tetmajer i Rostworowski, ujmując jego sprawę scenicznie.

*

U Tetmajera tragedja charakteru, tragizm złego charakteru, zlewa się w jedno z tragedją losu, tragizmem niedoli (żeby użyć rozróżnień T. Lippsa): „Judasz" Tetmajera jest pełnem zgrozy nurzaniem się w tajemnicach predestynacji.

Judasz już na świat przyszedł ze swoją niedolą: urodzony z twarzą, co mu jednała przezwisko złodzieja, ulega wszystkim namiętnościom: gwałtownik, rodziców bije, żonę zabija wiarołomną, a przecież zapomnieć tej kobiety nie może; z kolei on sam poniewierany jest i bity przez dzieci swoje, z których jedno jest złodziejem, drugie idjotką ladacznicą, a córka najstarsza, zresztą oficjalnie tylko jego dziecko, jędzą zimną i wzgardliwą. Do tego lichwiarz go gnębi, słowem dno nędzy, z którego się wyrywają przeraźliwe bluźnierstwa przeciwko niebu.

Lecz oto spotyka Judasz nieznanego wędrowca, imieniem Jakób, Zebedeusza syn, który niesie dobrą nowinę o Kimś, „kto rzeszom mówił: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". I jeszcze to: „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni. Błogosławieni pokój czyniący, albowiem będą nazwani synami Bożymi". Nieufny z początku, daje się przecież Judasz ująć tym słowom, obiecującym „raj, co jest na ziemi", ciszę i wesele dziecięce tym wszystkim, w których się dusza „psowa, których się dusza zsuwa w cień, których się duszy chwycił grzyb"... Rzuca przeto dom swój, dom „przekleństwa i sromu", idzie tam, „kędy kał grzechu zrzuca dusza, kędy jest słowo jako rosa, kędy jest wszystko nie jak dymy,.." Wprawdzie wciąż go, w gronie uczniów Jezusowych będącego, gnębią jakoweś złe przeczucia oraz wspomnienia, przecież dobrze mu tu jest, bo powiada:

„Szczęście tu mieszka wśród nas...
Gdy zbieram do mieszka grosze,
Za które was żywię,
myślę: O, jak to szczęśliwie!
Człowiek się o nic nie stara,
żyje się pół w raju żywotem,
uniesion słowem Pańskiem
i Pańską obecnością;
Tonie w świetle złotem,
świetle niebiańskiem,
gorze światłością...
Zaiste — szczęście jest z nami!"...

Więc dlaczegóż zdradza?

Dlaczegóż człowiek zdradza, zdradza to życie, w którem przeczuł zbawienie? Tu już poeta nie umie dać ludzkiej odpowiedzi Kończy się psychologja, zaczyna się metafizyka. Kończy się dramat psychologiczny, zaczyna się religijne misterjum. Poeta nie umie odpowiedzieć słowy: Tytułem odpowiedzi wprowadza figurę „Nieznanego". Ktoś Nieznany, bezimienny wie, iż Judasz zgrzeszy. *Ergo* — Judasz o tem wie. A z taką wiedzą — jedna człowiekowi droga.

Judasz staje się igraszką w ręku Nieznanego. Psychologja Judaszowa jest tu uwzględniona tylko w pełnem lęku i poczucia własnej niemocy sprzeczaniu się z Nieznanym. Człowiek nie należy tu już do siebie, ale do Nieznanego—ściśle biorąc ten „Nieznany" oznacza „Nieznane" — przeciwko któremu wola jego nic nie znaczy, albowiem właśnie on — (ono) — paraliżuje wolę.

Judasz w chwili, kiedy się już w nim ustalać zaczyna zbożny spokój, napotyka szaloną jawnogrzesznicę, która upodobała sobie w jego szpetnem obliczu, w jego włochatej piersi satyra i wabi go w las... Raz wreszcie poznał, co szał, raz wreszcie zapomniał o swej marnej doli — i od tej chwili jest w szponach Nieznanego.

Mógłby wtedy odejść od Jezusa poprostu — i uniknąć swej przyszłości. Lecz poeta wprowadza moment straszliwej ironji losu: Judaszowa uwodzicielka dostępuje łaski. W momencie, kiedy ufna w całą żywiołową potęgę swych powabów oraz w szatańskie pomoce, kusi ucznia Jana, dzieje się cud: Napotyka spojrzenie Chrystusowe i poczyna w sercu piastować obietnicę zbawienia. Z szalonej — nawrócona.

Tymczasem Judasz nie zapomniał — jej szaleństwa. Ona wspomina w zachwyceniu ów niebiański „wzrok, co na nią padł, jak ton Dawida harfy w żal ducha"; on w pijanej ekstazie przypomina jej ów słodki dzień, kiedy to on

„szczęśliw był... i szczęście czuł:
wśród cichych głusz... wśród błędnych dróg,
wśród ciemnych drzew, wśród wonnych ziół,
jam szczęśliw był...

[1]) Ostatni szczegół według Jamesa Stalkora *„Das verhör u. der Tod J. Chr."*, 1907.

i wyrósł las
co szczęście krył...
I nadszedł czas...
i był ten czas, żem szczęśliw był..."

Nawrócona ze zgrozą odpycha jego powrotne żądze. Na to on grozi jej wydaniem Chrystusa. Lecz jej woli nawet ta groźba okrutna nie łamie. I śmierć Jezusową przeczuwając, w Betanji, w domu Szymona trędowatego, olejki pachnące wylewa na głowę Jego (Mat. 26, 6—7). „A wtedy odszedł jeden z dwunastu, którego zwano Judaszem Iskarjotem, do przedniejszych kapłanów i rzekł im: Co mi chcecie dać, a ja Go wam wydam? A oni mu odważyli trzydzieści srebrników. A odtąd szukał czasu sposobnego, aby Go wydał" (Mat. 26, 14—16). Trzeba przyznać, że sama Ewangelja mogła poddać poecie myśl, że straszliwe decyzje zrodziły się u Judasza w związku z hołdem Nawróconej. Cytowane wyjątki z Mateusza są częściami jednego opowiadania. Judasz, wydając Chrystusa, nie zaprzecza jednakowoż w duszy Jego Synostwu Bożemu. Przychodzi zbrodnia, zdrada, Męka. Wyczerpuje się straszliwa, zawistna *libido* zdrajcy, on się ugina pod ciężarem koszmarnego grzechu. To rzecz po wielekroć okropna, tak widzieć wytknięty palec boży ku sobie, „tak nieruchomo wytknięty — z mocą, na której wisi świat..." Judasz „zrywa z siebie sznur i zarzuca na gałąź". Tak kończy się tragedja. Bez oczyszczenia. Jak zresztą w samem historycznem źródle i w powszechnem odczuciu. Pominąwszy akcenty predestynacji, Tetmajer jest tu ludowo-katolicki.

Dramat łączy psychologję z metafizyką i symbolami figuralnemi. Trzeba przyznać, że metafizyka, unaoczniona w figurze Nieznanego, nie zjadła psychologji, bo prócz predestynacji i działań Nieznanego podane są konkretne, psychologiczne motywy zbrodni: żądza i zawiść. Wobec tego możnaby spytać, czy „Nieznany", symbol figuralnie upostaciowany, nie jest już zbędnym naddatkiem, t. j. logicznie zbędnym? Trzeba jednak przyznać, że poeta utrzymał go w ramach mistycznego akcentu, wyrażając wprawdzie figuralnie przemoc żądz ciemnych nad wolą, ale wprowadzając go niesłychanie zwięźle, a suggestywnie nie dając mu się rozrość do rozmiarów jakiegoś *deus ex machina*. Piękne są i porywające te bystre jamby, raz jamby pijanej uciechy i żądzy, raz pogody wesołej, raz przekleństwa i rozpaczy.

Judasz Tetmajerowy, nędzarz okropny, urasta w wielkie rozmiary w tym dramacie, bo autor składa na jego barki symbol całego grzesznego człowieczeństwa, człowieczeństwa, zdradzającego święte porywy dla uciech cielesnych. Możliwe, że tu ma miejsce pewna symplifikacja tragedji, skoro poeta wprowadził motyw upadku dość bądź co bądź prymitywny i seksualny. Ale któż nie uzna, że to zgodne jest nietylko z klasyczną, ludowo-chrześcijańską, koncepcją grzechu najniebezpieczniejszego, lecz i z psychologią doświadczalną wiary. Czy można jeszcze chcieć nadświata, zamknąwszy się w kokonie ciepłym żądz?..

*

Rostworowskiego „Judasz" — to nie metafizyka, ale psychologja, może i socjologja. Rzecz, która się rozgrywa na scenie, to tragizm człowieka małego, który się zaplątał w wielką sprawę. Coby robił episjer, jakby się czuł, gdyby przypadkiem znalazł się uczniem Chrystusa?.. On „w Galilei sklepik miał" — i ten refren wciąż się przewija w jego wspomnieniach. Jedynem jego uczuciem poważniejszem była nienawiść socjalna, zazdrość na widok faryzeuszów, uczonych w piśmie, zasiadających pierwsze miejsca w świątyni, zawiść wobec kapłanów, którym musiał płacić obfitą daninę i liczne podatki. Gdy Chrystus począł nauczać w Galilei, Judasz przystał doń, nietyle z entuzjazmu i wiary, ile pociągnięty przez żonę swoją, niewiastę bohaterską, a męża kochającą, pragnącą przeto, aby Judasz szedł „ogłaszać wieść i słowo nieść", jako jeden z apostołów, mocny i wierny. Lecz srodze się zawiodła Judaszowa żona: „jemu cięży chleb tułaczy, jemu cięży święty los..." On wprawdzie chce nadążyć za Chrystusem, on chce w Niego uwierzyć, ale do wierzenia potrzebuje koniecznie znaków materjalnych, cudów nieustannych, przedewszystkiem zaś oczekuje „wielkiego cudu", zniesienia ustroju kapłańskiego, gnębiącego dziesięcinami. I on — jak ów Judasz Quinceya, tylko środkiem o wiele mniej drastycznym — chce wymusić na Chrystusie cud zapomocą podstępu: Rozpowiada między ludem o mającym nastąpić cudzie, w tem przekonaniu, iż Jezus ustąpi pod psychicznym naciskiem rzeszy i cud sprawi. Zdradza zaś Chrystusa — bo jest tchórzem. Gdy zawiedziona w oczekiwaniu cudu socjalnego rzesza jerozolimska ściga Go jako szalbierza i bluźniercę, gdy ponadto wpada On w ręce prowokatorów, którzy Mu za podburzanie ludu grożą karą śmierci — przerażony Judasz, dla ocalenia życia, obiecuje kapłanom wydać miejsce samotnych modlitw Jezusa. A trzydzieści srebrników, to tylko napiwek z łaski mu wręczony.

W porównaniu z innymi Judaszami literatury, Judasz Rostworowskiego jest stosunkowo najbardziej nacechowany odrazą sumienia do zdrajcy — i zdrajcy Chrystusowego. Wychodzi to zwłaszcza w porównaniu z Judaszem Andrejewa. U tego ostatniego, Judasz, to jedyny pośród apostołów, mimo kłamliwości i złodziejstwa, człowiek na wielką miarę: On jedyny pojął Chrystusa, wie, iż Chrystus musi złożyć ofiarę ze swego życia, aby się misja Jego spełniła, i to on, on jest tym, co waży się sumienie swe obciążyć przez wydanie Go władzom; ze śmiercią Chrystusa, rola Judasza skończona, popełnia samobójstwo. Natomiast Jan Andrejewa to kompletnie mały człowiek. U Rostworowskiego przeciwnie: Jan jest wyniosłą, prześwietloną światłem łagodności, cierpliwości i wiedzy duchowej osobistością, a małym jest Judasz, człowiek, który nie miał ani odwagi, ani siły, ani wiary w cuda duchowe. Po tak suggestywnych poprzednikach, taka degradacja Judasza była aktem zdrowej odwagi literackiej. Z tem wszystkiem degradacja ta, ten powrót do prostoty autentycznej tradycji, nie jest bynajmniej tradycjonizmem literalnym, owszem jest też swoistą, oryginalną interpretacją danych tradycyjnych. Judasz nie jest tu człowiekiem złym, jest tylko człowiekiem w oku autora mocno pomniejszonym, w każdym razie pomniejszonym realnie, nawet przez sam swój kontakt z wielkością. Rostworowski swego Judasza nie czyni ofiarą żadnych socjalnych idej, nie stylizuje go; jest to Judasz pomyślany przez umysł raczej realistyczny, nie pozbawiony ironicznego humoru. Jeśli wogóle jaka stylizacja tu jest, to na histerycznego filistra, który się zaplątał w rzeczy nieskończenie go przerastające, no i cierpi — w tej sieci „świętego losu". Judasz Rostworowskiego cierpi — ale nie budzi grozy

to cierpienie (jak u Tetmajera), jeno litość pomieszaną z lekceważeniem.

Możnaby spytać, co w takiem przedstawieniu może być tragicznego, czy może się nawiązać jakaś wnętrzna, naprzekór wszystkiemu, kompasja z bohaterem, dzięki której obudzić się może patos „strachu i litości"? Owszem, bo ten humor („jam w Galilei sklepik miał...") jest więcej litościwy, niż szyderczy. I Rostworowski nie daje swemu Judaszowi zejść ze sceny bez patetycznego oczyszczenia. Przy samym końcu dramatu, ten tchórzliwy filister, ten niepozbawiony sumienia, ale niezdolny do wiary w znaki duchowe słabeusz, — niepomiernie urasta. Trafnie i głęboko został tu — zdaje się — ujęty ten niebezpieczny paradoks życia moralnego: oczyszczenie duszy poprzez grzech...

Po zawiadomieniu straży, iż Jezus spędzi noc w ogrodzie Gethemani, Judasz powraca do wieczernika między zgnębionych złemi przeczuciami apostołów i dopiero wówczas wypowiada słowa, zdające się świadczyć, iż wreszcie Chrystusa pojął: „Bo na świecie, kto zaczyna od kołaczy... później... trzeba mu rozpaczy... Na co?... łatwo odgadniecie..." Zbrodnia w tej słabej, przyziemnej, ale niezłej duszy, spowodowała rozpacz; a dopiero rozpacz niespodziewanie i potężnie poszerzyła jego widnokręgi, — (tak chyba należy interpretować ten skok?): Judasz wreszcie, zapóźno, zrozumiał to, co Jan dawno już rozumie: Jakkolwiek Chrystus odejdzie, to jednak

„pozostanie święte godło,
pozostanie święta broń;
znak widomy, że narody,
pośród tej ziemskiej gospody,
choć żądzami poróżnione,
idą społem dłonią w dłoń
i podnoszą w niebną stronę,
w stronę zachwyceń anielich
nie wesele, jeno kielich
napełniony krwią serdeczną..."

I w pięknej końcowej scenie, która przechodzi w misterjum, kiedy to Jan podnosi kielich w stronę, skąd się Chrystus ma ukazać, i kiedy Chrystus cichy staje we drzwiach wieczernika, zaś apostołowie biją czołem o ziemię „jak nasze chłopy podczas podniesienia", a Jan rzecze

„Bo na świecie wielki cud,
bo na świecie serc nie mało,
sercem wojujący lud,
wojujący sumieniami,
aż Słowo Ciałem się stało" —

Wtedy Judasz kończy:

„I zamieszka między wami..."

W tem ostatniem słowie, kiedy Judasz pojął wreszcie, zapóźno, dzieło Chrystusa, ale zarazem od gminy Chrystusowej sam się wyłącza, jest w nim patos tragiczny. Słowa to bezmiernie smutne, ale zarazem oczyszczające, jakoś kojące. Kurtyna zapada, sprawa potoczy się swoją koleją, i wiadomo, że zdrajca odejdzie na rolę garncarzową, gdzie zginie śmiercią haniebną i obrzydliwą, bo rozpukuje się wisielec na poły i wypłyną z niego wszystkie wnętrzności... — i takim zostanie w pamięci chrześcian. Ale widz wychodzi z teatru choć smutny, skruszony: bo tymczasem winowajca już pojął Wielkość, więc się podniósł, więc się oczyścił — conajmniej estetycznie.

A przeto takiem rozwiązaniem tragedji małego człowieka, Rostworowski dał tu, jak i gdzieindziej, dowód, że jest nadewszystko — poetą litości. Bo istotą litości, w każdym razie litości chrześcijańskiej—jest: przyzwolić każdemu na wzrost— przez skruchę.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ALCHEMIK U ZYGMUNTA WAZY

Zofji Kossak-Szczuckiej

Zaczął Mistrz Alchemji
mówić w zamku sali:
wszyscy wokół niemi,
tak się zasłuchali.

Milczą dygnitarze
świeccy i duchowni —
w górę wznieśli twarze
zimne najdosłowniej...

Jedno tylko słońce
rozgrzać pragnie świat ów,
parząc palców końce...
złocąc infułatów...

...Siedzi Zygmunt Waza,
rzeźbom spokój skradłszy:
jakby był z żelaza
w mówcę niemo patrzy.

Mistrze i uczeni
ważą wszystkie słowa,
że aż im się mieni
w znoju — skroń woskowa!

Czasem wicher z drogi
jak trzpiot — oknem wskoczy
zmarszczyć mistrzom togi...
mnichom przymknąć oczy...

...Siedzi Zygmunt Waza
z trudnych myśli męką:
jakby był z żelaza,
nie drgnie nawet ręką.

Z nudów — dworskie panny
sennie kłonią głowy;
w ciszy nieustannej
krzepnie twarz królowej...

Raz wraz — oddech woni
wpadnie, pierzchnąć nie chce.
pannom lica płoni...
nozdrza starcom łechce...

...Siedzi Zygmunt Waza,
w posąg się zamienia:
jakby był z żelaza,
mrozem tchnie milczenia.

Aż wtem — co? Kto? Wrzawa?
Budzą się oblicza!
Oto wpadła krwawa
postać Chodkiewicza

i jakgdyby nagle,
cucąc kraj z zadumy,
ramion wznosi żagle,
nieme pruje tłumy,

aby z ciałem w ranach,
z sercem zadyszanem,
wieść o rokoszanach
rzucić dziś przed Panem!

...Siedzi Zygmunt Waza,
obcy Polsce człowiek:
jakby był z żelaza
unieść nie chce powiek.

— „Ratuj cześć Twą, Panie,
naród — władzy bluźnił!"
„Dobrze, mój hetmanie,
powiesz mi to — później..."

ANNA SŁONCZYŃSKA

NA WIDOWNI

Miasto i wieś. — Gehenna w Piotrkowie Trybunalskim. — Szkło z piasku krwawego. — Praca i opieka społeczna w czasach socjalizmu. — Gdzie szukać pionu socjologicznego? — Pion gospodarczy: ziemia—naród—Bóg. — Ten sam dla państwa. — Gospodarz Magryś modli się za naród. — Czy są w Polsce ludzie zdatni?

MIASTO. Fabryka. Kapitał obcy. Obcy robotnikowi. Nędza. Głucha nienawiść. Walka. Jakże odmienne motywy społeczne od tych, które opisywałem w poprzedniej swojej „widowni" wiejskiej!

Jeden z przyjaciół naszego pisma donosi z Piotrkowa:

— Nasz partykularz urasta mi do symbolu stosunków, panujących w całym kraju, zresztą na całym świecie. Mam na myśli stosunki, jakie się wytworzyły w naszych hutach szklanych. Jest to własność tow. belgijskiego. Panem hut z ramienia tego kapitału jest baron Emil Haebler z Łodzi.

Postanowiono gdzieś zagranicą huty piotrkowskie zamknąć, piece wygasić. Tysiąc robotników, kilkudziesięciu urzędników pozostanie bez chleba. Robotnicy z rozpaczy jęli się strajku włoskiego pod hasłem: nie opuszczać gmachu fabrycznego, utrzymywać ogień w piecach. W nocy śpią na ziemi z trochą słomy pod głową. Głód, choroby, wszy. W niedzielę od rana tańczą przy dźwiękach harmonji w jakiemś dzikiem zapamiętaniu. Złorzeczą Polsce i swemu losowi. Agitatorzy grasują, terroryzując elementy spokojniejsze. Bezrobotni zatrzymują pociągi, aby rozkradać węgiel.

A przecież tak niedawno jeszcze ci sami robotnicy, osobiście ludzie spokojni i poczciwi, wołali: „Nie chcemy rewolucji, chcemy chleba i pracy". Ale właściwie niema z kim o tych rzeczach radzić, niema z kim się rozmówić. Zarząd zieje chłodem, porozumiewa się wykrętnie. W Palmową niedzielę robotnicy odrzucili propozycje zarządu. Raczej kraść, niż na tych warunkach pracować.

O cóż poszło? Zalegano z wypłatą zarobków tygodniowych. A jakie to zarobki: prosty robotnik, a tych większość, zarabia 6 zł. tygodniowo. Zaczęto się burzyć. Było to w połowie lutego, kiedy przybył z Łodzi baron Haebler. Bawił dwa dni. Policzył sobie za to djet 6 tysięcy złotych. Zarządził: obniżyć płace robotnikom i urzędnikom, bezrobotnych usunąć z mieszkań (nory!), robotnikom odebrać przydział węgla. Dyrektor Christman jedzie do Warszawy. Zamówienia są, robotnicy nie pozwalają szkła pakować, dyrekcja gasi piece. Bałagan, chaos, błędne koło.

Zarząd hut—to Niemcy anabaptyści, urzędnicy Niemcy, tu i ówdzie kilku Polaków. Rozmowy niemieckie, duch niemiecki nacjonalistyczny. Baron pobiera 1.500 dolarów miesięcznie, dyr. Christman 7.000 zł. W ostatnim miesiącu obaj podnieśli sobie pensje o 100 dol. i 600 zł. Chcą zamknąć huty, bo mają ich dość gdzieindziej, ale nie robią tego wprost, lecz tumanią robotników, aby na nich zwalić odpowiedzialność za zamknięcie.

Władze sprowadziły 60 policjantów z Łodzi. Ci biwakują dokoła hut, słuchając bardzo przykrych słów...

Znajduję potwierdzenie tych relacyj w dzienniku miejscowym (ABC). Doszło wreszcie do krwawego rozrachunku z portjerem, Papińskim. Ten w obronie użył rewolweru i postrzelił śmiertelnie robotnika. Zanosiło się na katastrofę. Dzielny dziennikarz (zapewne p. Dobrzański) interwenjuje, uspokaja tłum. Przypomina mu się rok 1905, tylko że tutaj w grę wchodzą komuniści.

Było to 2 marca. Zarząd się zaciął. Nazajutrz demonstracja tłumu przed zarządem. Policja rozprasza. Inspektor pracy bezradny. Strajk trwa. Robotnicy śpią w „szmelcowni", zakopując się w piasek lub na workach sody. W formiarni za poduszki służą formy żelazne. Na izbie chorych leży 17 kobiet wycieńczonych chorobami i głodem. Zachodzi obawa epidemji. Ogólne zdenerwowanie rośnie. Siłą nie da się robotników z fabryki usunąć.

Konferencja władz państwowych z zarządem hut i delegacją robotników. Byli: starosta, 2 inspektorów pracy, delegat ministerjum pracy p. T. Ulanowski (a jakże!), dyr. Christman, 19 robotników. Obradowano 4 godziny — bez rezultatu. W dniu 16 marca robotnicy opuścili fabrykę i podjęli strajk zwykły. Policja rozpędzała. Zarząd zagasił jeden piec, wzywa robotników do nowych zapisów, staje się jeszcze twardszy. Wśród robotników nędza. Brak nawet soli do kartofli. Usuwanie z mieszkań trwa...

Tak rzeczy stoją dzisiaj[1]). Co będzie jutro? Co będzie w hutach i w całej Polsce?

— — — — — — — — — — — —

Czy dlatego, że potrzeba wytworzyć trochę szkła, konieczne jest stwarzanie piekła dantejskiego? Czy konieczny jest do tego w Polsce Niemiec i kapitał bezimienny międzynarodowy? Czy nie na to przypadkiem utrzymujemy tak wielkim kosztem ministerja przemysłu i handlu, robót publicznych, pracy i opieki społecznej, zresztą sądy, aby takie kameruńskie zapędy eksploatacyjne były hamowane, aby takie zatargi nie miały miejsca, a w żadnym razie nie trwały miesiącami? Pokazuje się, że spekulanci potrafią się bawić w przemysł polski z tanim niewolnikiem polskim, dopóki ciągną zyski i wywożą je zagranicę, a gdy gorzej idzie, wtedy grosza nie poświęcą na przetrwanie kryzysu i godziwe zlikwidowanie interesu; w biały dzień, w obliczu społeczeństwa rozprawiają się z naszym ludem, jak z martwą rzeczą, jak z tym żuzlem, który po fabryce zostanie.

Ja bardzo lubiłem p. Ulanowskiego, kiedy pisał nowelki lub występował w kaberecie, więc mi przykro, iż jego wstawiennictwo pozostało bez rezultatu. „ABC" piotrkowskie (nr. 74) pisze o jego konferencji:

„Del. min. Ulanowski postawił jako warunek dalszych pertraktacyj, opuszczenie terenów fabryki przez robotników, przyczem nie wykazał w dostatecznej mierze cierpliwości, nie dając delegatom robotniczym możności wypowiedzenia wszystkich swych bolączek. Ciekawe były rady p. inspektora pracy Wojtkiewicza, który, jako były pracownik fizyczny, znajdował się sam za swych młodszych lat w podobnych sytuacjach. — Zdaniem p. Wojtkiewicza, robotnicy podczas pracy powinni mniej używać „sławojek", wogóle mniej palić papierosów, a wówczas obniżka płac nie da się odczuć zbyt dotkliwie".

Wogóle mnie dziwi, gdzie dzisiejsi ludzie „miarodajni", opiekujący się oficjalnie pracą, podzieli swoje ideały „robociarskie". Przecież to wszystko socjaliści, którzy z socjalizmu wyprowadzali nie-

---

[1]) Była teraz wiadomość, że doszło do jakiegoś porozumienia (kwiecień). Robotnicy wracają do pracy, przynajmniej część, bo jeden piec zgaszono.

podległość, a teraz z niepodległości nie mogą, w zatargu z p. Haeblerem, wyciągnąć konsekwencji na korzyść ludności polskiej.

Przykład przytoczony chyba dostatecznie przekonywa, że do gospodarstwa potrzebny jest gospodarz, że tym gospodarzem musi być ktoś, co ma Boga w sercu a interes całości na względzie.

Potrzebny jest gospodarczy charakter tego typu, co ów Magryś, o którym pisałem poprzednio. Jest coś na świecie ponad kapitalistą i ponad robotnikiem: jest Bóg, jest dobro narodu, które nie pozwala niszczyć człowieka. Nie można innej socjologji komponować dla wsi, innej dla Piotrkowa, wszędzie bowiem jest ten schemat życia: ziemia, naród, Bóg. Wszystkie te trzy punkty oparcia socjalizm robotnikowi wykreślał z jego książki pracy. A tymczasem nie będzie dobrze z przemysłem i dolą robotniczą, dopóki spraw tych nie będzie się regulowało ściśle według wskazań interesu narodowego. Ten jedynie może być rozjemcą w konfliktach socjalnych. I dlatego ludzie rządzący muszą mieć oparcie w narodzie i tylko jego myślą się kierować.

— — — — — — — — — — — —

Trudno pomyśleć cięższych warunków pracy, jak życie górnika na Śląsku. Przeczytajcie powieść Morcinka „Wyrąbany chodnik". A jednak górnik ten, pracujący jak kret w ciemnościach, pozostał człowiekiem i reprezentantem narodu. Bo tam stara kultura doprowadziła naturę ludzką do tego pionu: ziemia — naród — Bóg. Dopiero nowsza formacja przemysłu, oparta z jednej strony na rabunku i spekulacji, a z drugiej na ideologji socjalistycznej, daje obraz piekła.

Warunki pracy po wsiach są także bardzo ciężkie, ale przecież jest z nich jakiś wylot ku słońcu, jakiś ratunek dla człowieczeństwa. Podczas gdy w Piotrkowie doprowadzeni do szaleństwa robotnicy w jakiejś otchłani fabrycznej w czasie nabożeństwa niedzielnego tańczą swoją rozpacz przy harmonji, przeklinając swój kraj i wykrzykując wiwaty na cześć Sowietów, wtedy taki wyrobnik Magryś (że wrócę do niego), który widział przecie, jak ludzie z głodu umierają, spracowaną ręką chwyta za pióro i pisze wiersz:

Witam cię ziemio święta, ojczysta, kochana,
Od Najwyższego Stwórcy nam Polakom dana,
Który z wszelkiemi skarby dla nas ciebie stworzył
I nasze plemię Lasze na tobie rozłożył...

Zwracając się do ludu poeta wioskowy pisze:

Jakież że to nastały teraz przykre czasy:
Wytrzebiasz i sprzedajesz swe ojczyste lasy,
Wspomagając pomyślność obcych nam narodów,
Pomagasz do stawiania zagranicznych grodów.
Zamiast się łączyć w siły i stawiać fabryki,
To kochasz marnotrawstwo i różne wybryki,
Sprowadzasz sobie zdala dość liche bławaty,
Zamiast się przyodziewać w dawne polskie szaty.

A dalej:

Czyż mamy być najgorsi między narodami,
Gdy nam dał Pan Bóg ziemię z wszelkiemi skarbami?
Tylko podnieśmy przemysł, rolnictwo dźwigajmy,
Bo jak tylko nastanie między nami zgoda,
To zaraz w całej Polsce zabłyśnie pogoda. (1892)

Oto program społeczny, oto socjologja chłopa-wyrobnika. To, do czego przywykliśmy, takie dramaty, jak w Piotrkowie, jakże dla niego są niezrozumiałe! Jest naród, któremu Pan Bóg dał ziemię, a w niej „skarby". Do tych skarbów należy i piasek. Cóż prostszego, jak ludziom zorganizowanym w naród, obdarzonym wolą i rozumem, z tego piasku zrobić sobie trochę szkła? Czyż na to trzeba cały świat przewracać do góry nogami, bluźnić przytem Ojczyźnie i Bogu?

Chłopski rozsądek, na który wreszcie przychodzi pora, domaga się jakiegoś uproszczenia stosunków, aby w nich znalazł dla siebie miejsce cały człowiek. Chłopski rozsądek i chłopska wiara. Magryś w kolendy swoje (1905) kładzie takie strofy:

Błogosław naszą pracę i dążności,
Daj zgodę bratnią i życie w miłości,
Abyśmy w zgodzie i jedności żyli —
Ciebie chwalili!

Błogosław miasta oraz nasze wioski,
Daj chleb powszedni i broń zbytniej troski,
Daj szczęsne życie, a potem niech Ciebie
Chwalimy w niebie!

Elementarne zasady o zgodzie i bratniej miłości brzmią — nieprawda? — w naszych czasach, jak coś nowego, jak odkrycie. Czy słyszeliśmy taką mowę w ustach reformatorów XIX wieku, a potem nawet z ust opiekunów „miarodajnych" narodu? Z ich wywiadów, mów, zarządzeń? Trudno się dziwić, że nam się nie udaje prosta robota z piasku rodzimego, gdy nam się wogóle w głowie przewróciło i nawet u szczytów swej odpowiedzialności już nie wiemy, że jesteśmy narodem, który trzeba kochać, nie zaś walczyć z nim. Jakże w tych warunkach gospodarować, jak ocalić swój byt?

Gdybyż była wymówka, że brak ludzi zdatnych! Przypomnę znowu autora przytoczonej kolendy i jego wioskę. On, analfabeta, swoim zmysłem gospodarczym zrobił ze swojej wioski schludne i rządne państewko, z wioski, która przedtem nie wiedziała, jaki użytek dać swemu nawozowi. Kiedy Magrysiowi wypadło być kierownikiem kasy Raifaisena i prowadzić księgi, zrozumiał, co to za bieda nie znać sztuki arytmetycznej mnożenia i dzielenia. Liczył przy pomocy swych palców, aż przyjechał z miasta rewident, który, sprawdzając rachunki, dokonywał tych działań tajemniczych na papierku. Chłop chciwy wiedzy patrzył mu na pióro, a gdy ten wyjechał, przerobił sam wszystkie jego działania — i wykrył, że matematyk omylił się o 25 złotych.

Albo ten szczegół: pozwólcie, że go opowiem na zakończenie. W czasie wojny — pisze Magryś — zabrano do wojska wśród innych ze wsi także organistę. Wielkie było przygnębienie, gdy organy zaniemówiły. A była we wsi biedna dziewczyna, wyrobnica Cynarówna, która w chórze śpiewała i miała wielkie zamiłowanie w muzyce. Zarabiała szyciem i z oszczędności, jakie uciułała, kupiła gdzieś na wyprzedaży fortepian. Dopóty stukała w ten gruchot, aż się grać nauczyła. Śmiano się z jej zachcianek, że udaje hrabinę. Tymczasem przyszła ta chwila, że wieś ze czcią zwróciła do niej serca. Cynarówna siadła do organów i grała pięknie i chór prowadziła. Może śpiewano kolendę Magrysia:

Ojczyźnie naszej użycz szczęsnej doli,
Bośmy rozdarci, zostajem w niewoli...

Jeśli czyich modłów, to gospodarnego ludu polskiego Bóg wysłuchał, dając nam wolność. Słyszycie ten organ, czy to święta Cecylja oręduje przed Bogiem:

Byśmy po ciężkiem strapieniu wiekowem
Mogli w złączeniu ożyć życiem nowem...

Naszem własnem, dostojnem, godnem wielkiego narodu!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Akcja dyplomatyczna jaka rozwinęła dokoła planów, zmierzających do stworzenia z pięciu małych państw naddunajskich jakiejś większej całostki gospodarczej, a więc poniekąd także politycznej—akcja ta przyciągnęła zainteresowanie opinji i wywołała liczne komentarze prasy, które jednak nie wyświetliły istoty rzeczy. Rezultat ten nie może dziwić. Jedyną podstawą konkretną do wysnuwania wniosków były nic nie mówiące o istocie akcji i zamiarów komunikaty oficjalne. Cóż mogło lepiej pouczyć o rzeczy? Niedyskrecje zakulisowe odpowiedzialnych za los projektu mężów stanu? Te w istocie rzuciłyby światło na sprawę. Ale prasa nasza z pewnością, a prawdopodobnie i rząd polski nie mogli korzystać z tego cennego źródła informacyj. O ile sądzić można z poruszeń naszej dyplomacji, narady londyńskie, początkowo Francji z Anglją, a potem Francji, Anglji, Włoch i Niemiec, otaczała w rzeczy samej dość ścisła tajemnica. Nie wiadomo konkretnie, o czem mówiono, a więc technicznie trudno też ogłaszać „niepowodzenie" konferencji. Przeciwnie, „konferencja udała się znakomicie", oświadczył na odjezdnem z Londynu szef delegacji niemieckiej, von Buelow. Mianowicie „wyjaśniła w poważnej mierze zagadnienie naddunajskie, tak że każde z państw, co uczestniczyły w konferencji, teraz wie, w jakiej jest sytuacji". Pomyślny ten wynik, o ile można sądzić z oświadczeń polityków i głosów prasy, mniej zadowolił polityków francuskich, a poniekąd także angielskich. Idea trwałego odcięcia Austrji od Niemiec nikomu nie jest droższa, niż polityce francuskiej. Jeśli tak, to plan związku gospodarczego pięciu państw naddunajskich, o ile w wyniku osiągnąć mógłby utrwalenie oddzielnego bytu Austrji i Niemiec, byłby niewątpliwie wyrażał ulubioną tezę francuską. Po udaremnieniu w roku zeszłym unji celnej austro-niemieckiej, dalszym krokiem w tym samym kierunku byłoby teraz stworzenie osobnego organizmu gospodarczego z Austrji i czterech innych małych państw naddunajskich, ze stanowczem wyłączeniem Niemiec. Wyłączenie to oczywiście było niemożliwe w razie przystąpienia do projektowanej unji innych państw dużych, jak Polska i Włochy. Stąd też, gwoli urzeczywistnieniu głównej myśli planu, polityka francuska zdecydowała się, jak wszystko wskazuje, poświęcić, jako rzecz o wiele mniejszej wagi, interes gospodarczy sojusznika polskiego. Gazety doniosły, że dopiero przed samą konferencją londyńską, w myśl instrukcyj rządu polskiego, przedstawiciel Polski zgłosił zainteresowanie kwestją przyszłej unji gospodarczej. Polskie czynniki oficjalne widocznie w małej conajwyżej mierze wtajemniczone były w zamiary francuskie. O wiele więcej wysiliła się polityka francuska na pozyskanie współdziałania Anglji. Anglję i Francję łączył tu, jak żadne inne mocarstwa, interes finansowy akcji, jak ją pięknie nazwano, „ratowniczej". Pod tym względem miało to być, w zamierzeniu przynajmniej, stawianie dłużnika na nogi w interesie głównych wierzycieli. Ostatecznie, rozmowy angielsko-francuskie na ten temat dały podobno pewne wyniki pozytywne, pomimo antypatji angielskiej do wszelkiej akcji o pozorach przeciwniemieckich. Nie bez znaczenia może jest okoliczność, że były prowadzone wyłącznie po angielsku. Delegaci francuscy, Tardieu i Flandin znali ten język; protokuł zredagowano w jednej tylko wersji angielskiej. Była to zapewne pierwsza w dziejach tego rodzaju inowacja—pierwsza konferencja z udziałem Francuzów, na której angielszczyźnie przypadła taka rola. Jakaż olbrzymia zmiana od niedawnych jeszcze czasów, gdy jedynym urzędowym językiem dyplomacji bez kwestji był język Francji... Cokolwiekbądź ustalono w mowie Szekspira na wzmiankowanej konferencji, po rozszerzeniu koła uczestników przez udział Włoch i Niemiec straciło doraźny walor praktyczny. Bez zgody tych państw na plany naddunajskie, jedyną możliwością praktyczną okazał się *status quo*. W Niemczech uznano to naogół za sukces — podobny do tego, jaki w roku zeszłym odniosła Francja, zapobiegając powstaniu unji celnej niemiecko-austrjackiej.

W konflikcie irlandzko-angielskim, który od kilku tygodni zajmuje uwagę powszechną, brak również materjału do technicznej oceny sytuacji. Żadna z not, wymienionych między Dublinem i Londynem, nie została dotąd opublikowana. Ogłoszenie tej całej korespondencji nastąpić ma jednak niebawem. W prasie angielskiej wypowiada się zdanie, że to wcale nie przeszkodzi także dalszej wymianie poglądów. Wskazywałoby to, że w zatargu nastąpiło pewne odprężenie. Skłonność De Valery do kompromisu zdaje się nie ulegać wątpliwości. Rząd jego czyni przygotowania, żeby wziąć udział w konferencji imperjalnej, która w czerwcu zebrać się ma w stolicy Kanady, Ottawie, i radzić nad zapewnieniem wzajemnych korzyści gospodarczych samorządnym członkom „Imperjum". Niepodległościowcy irlandzcy nie chcą pozbawić Irlandji „stanowiska dominjalnego" — co dziś niekoniecznie musi oznaczać niewykonywanie atrybutów państwa suwerennego. Zniesienie przysięgi poselskiej na wierność koronie angielskiej jest jednak uważane za kwestję honoru narodowego, i na tym punkcie, możemy tego być pewni, Irlandja nie ustąpi. Dyskusja prawdopodobnie potoczy się około tego, w jaki sposób zniesienie to ma nastąpić, czy jednostronnie, przez suwerenny akt Irlandji, czy dwustronnie, przez uchylenie odnośnej klauzuli traktatu za zgodą Anglji. Nowym, aczkolwiek mniej już ważnym, elementem w rozwoju zatargu, jest odezwanie się rządów dominjalnych, w sposób bez wyjątku przychylny dla Anglji. Nawet dawniejszy stały sojusznik Irlandji na konferencjach imperjalnych w walce o rozszerzenie autonomji dominjalnej, premjer Południowej Afryki, gen. Hertzog, wysłał do De Valery napomnienie telegraficzne. Dodać trzeba, że ten ostatni krok wywołał zgorszenie wśród żywiołów niepodległościowych („republikańskich") w Południowej Afryce, pragnących widzieć swą ojczyznę wstępującą w ślady Irlandji.

Pisma nasze doniosły z Paryża, że dn. 22-go marca odbyło się tam inauguracyjne śniadanie nowej instytucji p. t. „*Conférence de presse franco-étrangère*". Na pierwszem zebraniu przemawiał m. in. Vladimir d'Ormesson, autor niezbyt życzliwych dla Polski studjów o Europie środkowej. Konferencja wyłoniła zarząd, do którego weszły m. in. następujące osoby: Louis-Jean

Finot, zapewne syn adwokata warszawskiego, tegoż nazwiska i rasy (Finkelstein), redaktora niegdyś *„Revue des revues"*, *„La Revue"*, tudzież autora *„Essais"* o „Długowieczności" (żył względnie krótko), o „Przesądzie rasowym" i „Umiejętności szczęścia"; dalej Antonina Valentin, autorka książki o Stresemanie; Ryszard Lewinsohn z *„Vossische Zeitung"*, autor znanej książki o roli pieniądza w polityce; wreszcie Filip Carr, znany przyjaciel Lloyda George'a. Sekretarzem generalnym tej nowej instytucji został p. Stefan Aubac, potomek zasłużonego dla żydostwa rodu Auerbachów.

NAUKA I LITERATURA

KOMEDJE PLAUTA

W NIEZAPOMNIANEJ „Bibljotece Narodowej", która (jak tyle innych naszych dorobków kulturalnych) padła ofiarą materjalnego i umysłowego kryzysu dni dzisiejszych, jedną z poważnych pozycyj stanowiły opracowania komedyj rzymskich Plauta, dokonane przez prof. Gustawa Przychockiego. Ukazały się one w trzech tomikach („Bracia" „Kupiec" i „Żołnierz samochwał"), zapowiedziane dalsze tomiki już nie wyszły. Z ogłoszonej przed siedmioma laty obszernej monografji o Plaucie (Krak. Sp. Wydawnicza), która zdobyła sobie u nas i zagranicą wielkie uznanie jako najbardziej wszechstronne i najgłębsze ujęcie twórczości łacińskiego arcykomika, wiadome było, że prof. Przychocki pracy swej tłumackiej i filologicznej na tem polu nie zaniechał, gdyż ma już gotowy przekład wszystkich dzieł tego pisarza. Próbki przekładu, przytoczone w tej książce, świadczyły, że tłumacz coraz bardziej doskonali się w swej robocie, wystrzegając się skrupulatnie usterek, jakie tu i owdzie dały się zauważyć w przekładzie najwcześniejszym, mianowicie w „Menechmach", spolszczonych niesłusznie na „Braci" (zamiast „Bliźniaków"), skoro ten tytuł należał się Terencjuszowej komedji „Adelphi". Szkoda więc, że owych drobnych retuszów nie dokonał prof. Przychocki w samychże „Menechmach", gdy mu się nadarzyła sposobność ponownego wydania tej starożytnej komedji omyłek. Oto bowiem Polska Akademja Umiejętności (która ostatnemi czasy nabrała wielkiego rozmachu wydawniczego) podjęła się nakładu wszystkich „Komedyj T. Macciusa Plauta" (Bibljoteka Przekładów z literatury starożytnej, Nr. 7). Narazie otrzymaliśmy tylko tom I tego zbioru, obejmujący — prócz „Menechmów" — „Amfitrjona", „Oślą komedję" „Losujących" i „Epidikusa". Przekłady te, zarówno wartością literacką jak wiernością filologiczną, górują znacznie ponad usiłowaniami poprzedników (Wolframa, Kraszewskiego). Dzięki szczęśliwemu zastosowaniu rytmiki udaje się prof. Przychockiemu uzyskać znaczną żywość djalogów, zwłaszcza że tu i owdzie pośpieszyło jej z pomocą jędrne wyrażenie gwarowe: pokusił się tłumacz miejscami i o oddanie łacińskiej gry wyrazów, co nierzadko dało dobre efekty. Może należało dodać nieco żywości i tytułom — choć prawdę mówiąc, one właśnie u Plauta zamało bywają wedle pojęć dzisiejszych efektowne. Co się tyczy tytułu *„Asinaria"*, pochodzi on oczywiście nie od „słów" (jak wydrukowane na str. 96), lecz od — „osłów".

Ciekawy jest wstęp, podający nietylko zwięzłą biografję i rys twórczości Plauta, ale przedewszystkiem unaoczniający znacznie tego pisarza w literaturze światowej. Korzystali z jego tematów i „chwytów" nietylko pisarze dawniejsi, jak Szekspir i Moljer, ale i najnowsi pisarze (zwłaszcza francuscy), cieszący się aktualną popularnością (Verneuil, Tristan Bernard, Giraudou); niewątpliwie i nasi — tak nieliczni — komedjopisarze wieleby na jego lekturze zyskali. Stara komedja polska wiele Plautowi zawdzięczała. Tłumaczył go świetnie Cieklińskl w XVI w., naśladowali „rybałci" XVII w. Prof. Przychocki, który starej komedji polskiej oddawna poświęcił baczną uwagę, przejął z niej nawet jakoby i pewne cechy techniczne. Co się tyczy użycia 13-zgłoskowca wraz z 14-zgłoskowcem miał poprzednika w Mikołaju Reju („Żywot Józefa"); trochę dziwne, że tego właśnie pisarza i w badaniach swoich i w przedmowie pominął.

J. B.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrodę literacką miasta Warszawy za r. 1932 w kwocie 10.000 zł. przyznano J ó z e f o w i W e y s s e n h o f f o w i. Jest to zarazem nagroda jubileuszowa. W grę wchodziły ponadto kandydatury: Zenona Przesmyckiego, Zofji Nałkowskiej i Boya-Żeleńskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród wydawnictw, które wywodzą się genetycznie z niedawnej rocznicy Kochanowskiego, budzi nasze zaciekawienie rozprawa J ó z e f a S k o c z k a p. t. *„Vir bonus* w pojęciu Jana Kochanowskiego"; praca owa ukazała się niedawno jako zeszyt I, tomu V Archiwum Towarzystwa Naukowego we Lwowie. Dr. Skoczek, autor wartościowych prac z dziedziny staropolskiej kultury, ominął momenty literackie, które narzucał temat badań; szło mu o przedstawienie kwestji moralistyki: poglądów Kochanowskiego na ideał ludzki i drogi wiodące do urzeczywistnienia typowej koncepcji *„vita bona"*. Tak pojęte zagadnienie wymagało szerokiego tła kulturalnego: autor sięga wgłąb starożytności, prowadzi czytelnika przez średniowiecze, zatrzymuje się na progu renesansu, by koncepcję polskiego poety umieścić na gruncie porównawczym. Rezultaty owej literatury parenetycznej, utrwalone przez autora linjami najbardziej syntetycznemi, stanowią wstęp rozprawy. Jej zrąb konstrukcyjny, wsparty sumiennem studjum dzieł Kochanowskiego, obejmuje zarys duchowy i fizyczny „męża idealnego", słowami najczęściej samego poety, który niejednokrotnie natchnieniu swemu kazał uczyć i moralizować. *„Vir bonus"* w pojęciu Kochanowskiego odznacza się pochodzeniem szlachetnem, cnotami moralnemi i polityczno-cywilnemi, nauką i wymową, zdrowiem, siłą, pięknością, nieraz majątkiem i dostojeństwem. Poezje czarnoleskie dostarczają wiele materjału do takiego wizerunku. Dr. Skoczek szafuje też szczodrze cytatami, streszczając biografję *viri boni*, jego młodość, wiek dojrzały i starość; profil duchowy „męża idealnego" zapoznaje nas z wartościami psychicznemi renesansowego wzoru. Opisowa część pracy, stanowiąca jej przedmiot główny, zaleca się jasną myślą konstrukcyjną i przejrzystą klasyfikacją materjału. Dr. Skoczek wskazuje na zakończenie elementy wtórne, przejęte przez Kochanowskiego od starożytnych, owoce jego uczonych studjów. Czyni to wszakże z umiarem, ustala raczej analogje, niż wpływy, podkreślając twórcze stanowisko poety: z renesansowej idei *„vir bonus"* wywiódł Kochanowski koncepcję, zwężoną religją i narodowością, partykulany bardziej ideał „dobrego Polaka-chrześcijana" *(bonus civis Polonus)*.

I to są końcowe wyniki badań autora: europejskość poety nie przytłumiła w nim czynników narodowych. Renesansowy literat, czerpiący ze źródeł klasycznych, helleńsko-rzymskich, sięga także do współczesności chrześcijańskiej i polskiej: przedstawia w ten sposób cudowny stop różnorodnych elementów myślowych, o których doskonałej syntezie rozstrzygnął nietylko talent poetycki Kochanowskiego, ale także jego poczucie plemienne i kulturalne. (T. M.)

*

J u l j a n K a d e n - B a n d r o w s k i lubi zajmować się dydaktyką i pedagogją oraz sprawami młodocianego wieku. W trylogji „Miasto mojej matki" każdą niemal nowelę zakończył dłuższą „nauką moralną". W artykułach „Gazety Polskiej" nieraz zabiera głos na temat nauczania polonistyki i historji, pomimo że nie zawsze ma odpowiednie po temu kwalifikacje i wiadomości (wprost kompromitującą, jako dowód wielkiej ignorancji historycznej, jest jego książka p. t. „Rzymianie Wschodu"). Nie zawsze również z tego punktu widzenia zadowolić nas może ostatnia książka Kadena (nakł. Ossolineum) p. t. „Aciaki z I-szej A". Jest to, jak się domyślać wolno, garść obserwacyj z życia dzieci samego autora, więc niejako ciąg dalszy „Wakacyj moich dzieci". Obserwacje oczywiście stylizowane; wyczuwa się tę stylizację wszędzie, czasem aż do uprzykrzenia. O dzieciach, a zwłaszcza dla dzieci, powinno się pisać bardziej poprostu i bezpośrednio, bo inaczej książka nie dociera do właściwych adresatów; trafi jedynie do literackich smakoszów, gdzie zresztą za swe wartości artystyczne słusznie cieszyć się może wziętością. Przy-

znać należy, że w książce nie brak obrazków i myśli pięknych; taka np. impresja „Między ścianami wieczystego milczenia" (o instytucie głuchoniemych i ociemniałych) tchnie silnym i niewątpliwie szczerym humanitaryzmem. Przykro natomiast odbija zachwyt nad brutalnością „Aciaków", twierdzących zarozumiale: tylko „my, pierwsza... A" jesteśmy coś warci, inni zaś to „zwykłe głupie bekasy... i idjoci..." których trzeba tylko „walić". Ładny program pedagogiczny... Może i w praktyce gdzieś stosowany?.. Niewiadomo, bo dalej spotykamy prawdziwy raj, gdzie wszystko jest tylko idealne. T. zw. „gimnazjum wzorowe". Jak wiedzą wtajemniczeni, są takie gimnazja dwa na całą Polskę, jedno męskie, drugie żeńskie; inne bytują w strasznych warunkach. Ale aczkolwiek wyjątek podobno potwierdza regułę, na podstawie jednego z tych „wzorowców" Kaden platonicznie zachwyca się stosunkami, panującemi w polskiej szkole... Wszystko tu wzniosłe, jedyne, centralne. Przed wojną nie było nauczycieli, tylko oprawcy młodzieży. O tych, co umierali z nędzy i z suchot, których zsyłano na Sybir, nie wspomina się. Poco analogjami pewnych wspomnień mącić wyidealizowaną teraźniejszość?.. (J.)

*

„Na odcinku" trzyaktowa opowieść dramatyczna z roku 1920 Janusza Milskiego (Antoniego Mikulskiego) wydana przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie, jest typową sztuką repertuaru amatorskich teatrów żołnierskich. Po wojnie zaroiło się od wydawnictw, opiewających osobiste przeżycia żołnierzy, w formie wspomnień, nowel, powieści i poezyj. Wśród tych wyróżniły się talentem poezje Mączki i Relidzyńskiego, podobnie jak z pośród wielu korespondencyj z frontu pozostaną w literaturze, dzięki potędze obserwacji i uczucia, listy Adama Grzymały Siedleckiego, drukowane swego czasu w „Rzeczypospolitej" i korespondencje Przemysława Mączewskiego. Opowieść „Na odcinku" rozgrywa się w dworku na wsi w okolicy frontu północnego na Białejrusi. Osobami dramatycznemi są oficerowie, żołnierze i sanitarjusze, zakwaterowani w dworku, i rodzina leśniczego, ojciec, matka, piękna ich córka i syn. Wiernie naszkicowane jest tło kwatery, z jej charakterystyczną przypadkowością i gorączką wojennych poczynań. Także zręcznie ujęty został nastrój życia obozowego. Naprzemian plecie się w tym nastroju niebezpieczeństwo i groza śmierci z sentymentem i pogodnym humorem. Zdaje się, że osobiste przeżycia autora narzucały mu się w wspomnieniach zbyt silnie, wskutek czego postaciom i djalogom, przeciążonym drobiazgami, brak odpowiedniej perspektywy. Rzecz jednak zalecają wzniosłe hasła narodowe, które swą szczerą prostotą mogą przemówić do słuchaczów scen popularnych. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pierwsza książka p. Pawła Vialar, zatytułowana *„Fatôme" (Emile Paul édit.)* dowodzi, że autor posiada wiele cech prawdziwego powieściopisarza, a pomiędzy innemi tę tak cenną zaletę, jaką stanowi umiejętność wytworzenia atmosfery. Fatôme jest zreformowanym marynarzem. Ma on jednak barkę swoją i handluje rybami. Los sprawia, iż w porcie razu pewnego spotyka Marję Putnick. Młoda dziewczyna podoba mu się; widują się coraz częściej. W krótkim czasie staje się ona dla niego tą fatalną kobietą, dla której mężczyzna potrafi dopuścić się nawet karygodnych czynów. W tego rodzaju miłości pieniądz odgrywa oczywiście dużą rolę. Marja lubi wydawać. Paweł nie wie, czy też nie chce wiedzieć, skąd bierze te pieniądze. Kiedy jednak straci dla niej wszystko co posiada, uda się nawet do domu warjatów, gdzie znajduje się jego matka, by od niej wyłudzić trochę grosza. Warjatka nie rozumie oczywiście swego syna i recytuje mu *„Ave Maria"*... Fatôme w pogoni za złotem postanawia udać się na statek, opuszczony w czasie szalonej burzy przez jego załogę. I oto w chwili, kiedy dostaje się na jego pokład, spotyka tam z przerażeniem jedynego żyjącego marynarza. Został on porzucony przez całą załogę, ponieważ zawsze na wszystkich statkach przynosił nieszczęście. Cała ta scena, rozgrywająca się wśród rozwydrzonych elementów, jest nad wyraz dramatycznie ujęta. Nieszczęsny marynarz zginie od... wypadku. Fatôme'owi zaś uda się ocalić ów statek i uzyskać poważną nagrodę od armatorów. Jest zatem w posiadaniu pożądanych pieniędzy, ale skoro wówczas zobaczy Marję, czar jej pryśnie zupełnie, zniknie miłość. Jak i dlaczego, niewiadomo. Człowiek bowiem podupada i wyzwala się z pod pewnych więzów, w sposób nie zawsze zgodny z regułami, ustalonemi przez największych nawet psychologów (I. B)

*

Wobec utrwalającej się autonomji Katalonji wzbudziła wielką ciekawość społeczeństwa zarówno hiszpańskiego, jak i katalońskiego, książka znanego pisarza José M. Vilà, katalończyka, p. t. *„Catecismo federal"* (Katechizm federalny). Autor daje tu w sposób prosty, aczkolwiek przy użyciu aparatu filozoficznego, wywody prawno-historyczne, wywołujące u czytelnika skłonność do uznania ich słuszności. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Po PRZERWIE, spowodowanej zdaniem sprawy z wystawy Pautscha, powracam znowu do Instytutu Prop. Sztuki. Tadeusz Kulisiewicz, jeden z największych współczesnych drzeworytników, wystąpił tu z całą kolekcją rysunków, gwaszów i akwarel. Gdybym musiał wysłać depeszę z charakterystyką jego wystawy, umieściłbym w niej trzy słowa: wyraz, deformacja, technika. I dokładniejsze omówienie prac Kulisiewicza obracać się może w obrębie zgłębienia treści tych trzech słów, tej oczywiście, jaką nadał im artysta. Już choćby z pobieżnego przeglądu dzieł widać, iż nadewszystko interesuje go wyraz: z tej właśnie strony podchodzi do odtwarzanej rzeczywistości. Sposoby tego podejścia są rozmaite i od nich tu zależy rodzaj utworów i przedewszystkiem ich wartość. Aby to dokładniej wyjaśnić wskażę na dwa odmienne traktowania kształtu, w tym wypadku, gdy artyście może chodzić o wydobycie zeń wyrazu. Można nadać pewien wyraz normalnej, zupełnie proporcjonalnej bryle ludzkiej twarzy przez odpowiednie ustosunkowanie do siebie jej rysów. W ten sposób nawet banalna i pospolita twarz staje się wyrazistą i ciekawą; wyraz jej, w danym wypadku, jest odzwierciadleniem pewnego stanu psychicznego. Tą drogą szły wieki ubiegłe, stwarzając w tym zakresie nawet pewne schematy i przepisy. Wielki artysta, nie lekceważąc ich, posługiwał się jednak raczej intuicją talentu.

Poza wyrazem — że tak powiem — ukrytym w twarzy, jako bryle, niczem pozatem nie frapującej, może istnieć jeszcze wyraz samej bryły, przez jej proporcje odmienne od normalnie spotykanych: np. głowa i postać garbusa. Oczywiście, im większa przesada w proporcji kształów, tem efekt silniejszy, inna sprawa, czy również artystyczny. Osiąganie wyrazu kosztem deformacji kształtu bardzo jest dziś popularne (zwłaszcza ekspresjonizm chętnie posługuje się deformacją kształtu; kierunek ten jest charakterystyczny przedewszystkiem dla sztuki niemieckiej). I twórczość Kulisiewicza cechują znamiona, wyraźnie ją zbliżające do sztuki współczesnych Niemiec, a jako rozwiązanie sprawy daleko łatwiejsze od drogi poprzednio wskazanej, zupełnie na miejscu w karykaturze, opierającej się w znacznej mierze na przesadzie. Przez wprowadzenie jej i w inne dziedziny plastyki granice się zatarły i wiele dzieł stoi na pograniczu karykatury, nie pretendując bynajmniej do jej miana.

Kulisiewicz także dąży do wyrazu kosztem deformacji kształtu, kosztem czasem nazbyt wielkim w stosunku do wartości stąd uzyskanych, jak o tem świadczą niemal wszystkie większe rysunki podkolorowane (gwaszem, pastelem, akwarelą), wyobrażające głowy i postaci dziecięce. Deformacja przesłania tu wszystko: co tu ukrywać, to są kretyni. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że tak ich artysta zobaczył, że taka jest jego wizja artystyczna. Czy należy się jednak cieszyć z tego, że artyście świat się przedstawia (w tych obrazkach przynajmniej) jako stado kretynów?

To jest pierwszy dział Kulisiewicza, najsłabszy, przez mylne podejście do tego rodzaju utworów, bądź co bądź już niemal kompozycyj, gdzie dosadność lapidarna, właściwa pośpiesznym szkicom z natury, powinna ustąpić miejsca środkom bardziej opanowanym i dyskretnym.

Drugi dział stanowią rysunki pejzażu górskiego (Szlembark) i z Francji. I tu dochodzi do głosu przedewszystkiem Kulisiewicz-technik. Posiadał on zawsze szaloną łatwość techniczną, lubi smaki i pikanterje swego *métier*, ale w drzeworytach, o ile chodzi o ich stronę formalną, dał coś wyższego ponad technikę: podniósł ją do godności własnego, nie zapożyczonego nigdzie języka, i opowiadał nim o świecie, stworzonym przez siebie. Takiej godności nie posiada technika jego pejzaży, świadcząca o talencie ich autora, lecz jednocześnie w swych chwytach typowa dla całego szeregu utalentowanych artystów współczesnych. Wiszące w sąsiedniej sali obrazy R. Malczewskiego posiadają technikę ubogą, niemal nieudolną, a jednak... Dopiero małe rysuneczki ołówkiem: postaci, główki dziecięce ujawniają w całej pełni wielki talent Kulisiewicza. Wykonane z natury, najbardziej wzruszające, nikłą, splątaną, nerwową, pozornie bezsilną linijką rysują i utrwalają coś, co jest tchnieniem zaledwie w krainie uczucia. Niema tu perwersji technicznej, gdyż kreska porzuca metody poprawnego opisu, dlatego aby — czujna i czuła — ułowić coś, co trzepoce na granicy istnienia i niebytu. Niema rozmyślnej i manierycznej deformacji, gdyż artysta poprzez kształt śpieszy do zanotowania tego, co on wyraża. Takie traktowanie narzuca także rodzaj utworu (szkic), ze względu na czas wykonania. Obok tych rysunków należy postawić notatki z rzeźb romańskich i gotyckich.

— — — — — — — — — — — —

Część krytyki niesłusznie usiłuje pasować Kulisiewicza na cierpiętnika i niemal Św. Franciszka (takie kohncepcyjki literackie są oczywiście daleko efektowniejsze i łatwiejsze od poważnego oświetlania dróg, któremi kroczy talent). Trzeba sobie uświadomić, iż zainteresowanie dla wartości plastycznych, jakiemi się uzewnętrznia cierpienie, nie jest wcale równoznaczne ze współczuciem dla samego cierpiącego. W pewnym sensie taką postawę artystyczną możnaby nawet uważać za okrutną: zainteresowanie się cierpiącym li tylko jako dostarczycielem określonego materjału artystycznego w surogacie.

*

Im większe wrażenie wywołuje dzieło sztuki, tem silniejsza jest potem wtórna refleksja: w jaki sposób artysta je skonstruował, aby to wrażenie osiągnąć? Umysł ludzki, skłonny z natury swej do badań i dociekań, tem chętniej studjuje twór artysty i zgłębia go, jeżeli ten był dlań środkiem wzruszeń estetycznych. I czyni to może w naiwnej wierze, iż odkryje tajemnicę sztuki, znajdzie „niezawodny środek“ na tworzenie dobrych dzieł... O pejzażach Rafała Malczewskiego możnaby powiedzieć poprostu: podobają się? no, bo on ma talent. Ale to nam nie wystarcza, ta odpowiedź, która właściwie wszystko powinna tłumaczyć. Chcemy zgłębić tajemnice talentu, odkryć ścieżki, któremi chadza. W jaki sposób Malczewski wyróżnił się swemi pejzażami w dzisiejszym istnym potopie krajobrazów? Dlaczego nie dalej jak na poprzedniej wystawie ziewaliśmy patrząc na niezliczone widoki, a teraz oglądamy obrazy na ten sam temat raz i drugi i jeszcze nam mało i poznalibyśmy je i odszukali z radością wśród tysiąca innych? Tamte odróżniały się od siebie trochę techniką, trochę kolorem, a właściwie niczem. Przyjrzyjmy się teraz Malczewskiemu. Technika? Ależ Malczewski nie posiada żadnej techniki. Jego obrazy są malowane całe jednakowo, bez różnic fakturowych, gładko, gładziutko od góry do dołu. Koloryt? Gdyby ktoś inny użył takich kolorów, trzebaby było wołać policję! Cóż to za zestawienia! A jednak... Zdaję sobie sprawę, iż to trochę niepedagogicznie mówić o tem głośno: publiczność, zawsze lekceważąca formalną stronę obrazu, powie: „Poco więc panowie nam tyle opowiadacie o założeniach, technice, fakturze i t. p., kiedy bez tego można być dobrym artystą?“ I gdy przyznamy im trochę racji, dalej pójdą fałszywą drogą. Więcej w Malczewskim artysty, niż malarza. Ale — nie zapominajcie — przedewszystkiem artysty-plastyka. Operuje on wartościami ściśle plastycznemi, jego koncepcje mają charakter wybitnie dekoracyjny. Przetwarza bez najmniejszego skrępowania rzeczywistość natury, urabiając ją na swoją modłę. Komponuje swoje pejzaże i w naturze możemy nie odnaleźć ich pierwowzoru. Te krajobrazy są, tylko dlatego, boby mogły być. Uniezależniając się od natury więcej niż impresjoniści, którzy ją bądź co bądź interpretowali, Malczewski jest współczesny. Daje nowe i własne ujęcie rzeczywistości. W tem właśnie kryje się wartość jego pejzaży. Impresjoniści odtwarzali efekty świetlne, Malczewski — wygląda to na paradoks — maluje to, czego nie widać: powietrze. Pojął istotę krajobrazu, zrozumiał, co go odróżnia od wszystkich innych tematów malarskich. Przestrzeń, dal, bezmiar. Miłując bezmiar, maluje widoki o szerokich dalach przestrzennych, nigdy fragmenty, ciasne zaułki, gdzieby się można udusić w gąszczu szczegółów. Miłuje żywioł: morze i góry i w jego obrazach jest oddech szeroki i tchnienie romantyzmu. Sala, gdzie wiszą, to sanatorjum dla piersiowo chorych. Suchotnicze mieszczuchy, zachłyśnijcie się tu ozonem; oto morze i woda, w której się odbija bezmiar nieba, oto śnieg i dal śnieżnych szczytów, oto pociąg pędzący wzdłuż brzegu i wzgórze okryte kwitnącemi krzewami. Boże, jaki świat jest piękny!

WIKTOR PODOSKI

FILM

APOLLO „Puszcza“ reż. R. Biske. Filmowanie arcydzieł literatury jest nawet z punktu widzenia „branży“ filmowej pomysłem niebardzo sprytnym. Widz, wychodząc z kina, robi porównania między arcydziełem pisarza i przeważnie arcy... kiczem reżysera. Kto tu na tem zyskuje? To też teraz wymyślono inny sposób. Pisze się na afiszu: wolna przeróbka. I na wszystkie zarzuty ma się później ten jeden uniwersalny argument: przecież to wolna przeróbka. Taką uwagę umieszczamy na marginesie „Puszczy“, która jako film da się podzielić na dwie nierówne co do poziomu części. Pierwsza przedstawia Kotowicza — utracjusza i jego pokusy, którym tak długo ulegał chyba po to tylko, aby siebie i nas umartwiać. Reżysar Biske wskrzesił tu, złożony już zdaje się do archiwum, zwyczaj fotografowania w filmie niemym aktorów rozmawiających. Panowie ruszają bezszelestnie wargami, pomagając sobie gestykulacją, aby jako tako można było zrozumieć o co chodzi. Druga część (lepsza) ma za piękne tło puszczę, niedość wyzyskaną w wyborze motywów i ich zestawieniu. Jest tu dobry moment, gdy Kotowicz w polu bierze ziarno z rąk siewcy i zamyślony, gestem bezwolnym, rzuca je w rolę. A najlepsze jest zakończenie, niebanalne i naprawdę kinowe. Śpiew p. Grudzińskiej wyszedł bardzo blado i tak samo wyszedł p. Karewicz. P. Ina Benita i p. Tadeusz Ordeyg byli piękni, każde po swojemu.

KANDYD

OFENSYWA

POLO-AMERICANA

KIEDY „Polska nastała“, przypuszczało się, marzyło się i roiło, że przez sam fakt i fenomen zmartwychwstającego z letargu państwa, otoczeni będziemy gorącemi sympatjami i afektami wszystkich innych nacyj świata, że staniemy się poprostu faworytem, Benjaminkiem narodów. Szczególnie wiele spodziewało się i liczyło na świat ludzi piszących, duchów wolnych, wszelkie chyba wyzwolenie i już tembardziej narodu okutego w potrójne kajdany (Rosja, Germanie, Semici) z frenezją, z entuzjazmem, z rozczuleniem przyjmujących. Jeżeli bowiem po roku 31-szym zgniecenie powstania wzbudziło tak gorącą dla nas sympatję u Niemców, a zgniecenie powstania Styczniowego tyle współczucia u Francuzów, Włochów i Anglików piszących, to jakżeż dopiero serdecznie i tkliwie odniosą się teraz do zmartwychwstającego Łazarza poeci, powieściopisarze, intelektualiści z tej i z tamtej strony oceanu! Iluż tu do nas będzie przyjeżdżało twórców z całego świata, aby przypatrzyć się, jak wstajemy z grobowca, jak przecieramy oczy, jak się organizujemy, jak się radujemy, jak jesteśmy wdzięczni światu! A potem o tem wszystkiem i o sobie będziemy czytywali w różnych językach poematy, dramaty, powieści, w których Polak, typ polski z powrotem przedstawiany będzie w dodatniem, w różowem, w heroicznem, w apologetycznem świetle. Będą się do nas odnosili jak familja do rekonwalescenta, jak jur.ści do wypuszczonego z katorgi, a niewinnie przed laty skazanego.

Tymczasem zawód i dezilluzja na całej linji. Albo nas już wcale nawet nie widzą, nie patrzą w naszą stronę, oczywiście nie przyjeżdżają i nie zaglądają, więc poprostu przemilczają. Albo nas widzą, oglądają i to przelotnie, przypadkowo, i wtedy piszą ale często surowo, negatywnie i z pełnem, wysokoprocentowem uprzedzeniem.

Nieciekawe pod żadnym względem oblicze moralne Sanacji odebrało Polakom resztę sympatji w świecie na całe bodaj następne stulecie.

Świat literacki w poszczególnych krajach europejskich jest nastawiony bez wyjątku przeciw nam, niemal dosłownie: bez wyjątku; autorowie niemieccy i sowieccy z racyj geopolitycznych i... dziedzicznie. Anglicy nas nie widzą. Modni francuscy pisarze sympatjami swoimi otaczają obecnie... Murzynów, Niemców, Prusaków, Litwinów. Włosi nami się nie interesują, w Hiszpanji w nowej beletrystyce temat polski znalazł się tylko raz i to w noweli o... „zagubionym“ generale Zagórskim *(Concha Espina)*. O wiele więcej już cały świat literacki wszystkich narodów i języków zaczyna być zaintrygowany, zafascynowany, zahypnotyzowany ekscepcjonalnością naszych wschodnich „braci Słowian“...

Wybitni pisarze amerykańscy naogół żadnego nie okazują nam zainteresowania. Polska dla nich, to nie przyszłość a raczej przeszłość, raczej coś mglawego, niejasnego w kolorze, hybrydycznego. Ani jeden z wielkich sławnych i poczytnych autorów amerykańskich nie raczył nas nawet dojrzeć na mapie. W stu kilkudziesięciu modnych powieściach amerykańskich, tłumaczonych ostatnio na wszystkie języki globu, nie przewinęło się ani razu słowo, słówko o Polakach. *Pardon*. Tylko w jednym utworze popularnej Edith Wharton („*The Age of Innocence*“) jest pono Polka „*countess Oleńska*“ jako wcielenie „*moral turpitude*“.

To też tem większą sympatją powinniśmy żywić dla tych kilku całkiem sobie maleńkich, nieznanych, szarych, początkujących pracowników pióra, którzy z największym wysiłkiem dobrej woli starali się ująć polski temat ciepłą, przyjazną dłonią. Nie wiele tego, ale są, nie z wielkich centrów literackich się wywodzą, tylko z małych prowincjonalnych ognisk, ale są.

W pierwszym rzędzie trzeba postawić uczonego młodego profesora z Dartmouth-College (New Hampshire) p. Erica P. Kelly, już choćby z tej racji, że nie poprzestał na sukcesie swej pierwszej powieści: „*The Troumpeter of Cracow*“ (Hejnalista), ale po niej przeniósł swój afekt w Wileńszczyznę („*The Blacks mith of Wilna*“) by wreszcie zakończyć cykl: „*The Golden Star of Halicz*“ powieścią o Polakach i Czerwonej Rusi.

Po nim postawmy młodą nowelistkę Annettę Esty, która nie była w Polsce i tematu nie obrała z Polski, ale dała powieść o bohaterskiej Polce z wychodźtwa, żonie fermera w Vermont, Józefie Zaliwskiej. Ta Polka postawiła sobie za cel życiowy wybudowanie mężowi nowej sadyby i walcząc z olbrzymiemi przeciwnościami wreszcie cel swój osiąga („*The Proud-House*“).

W niezbyt dużem mieście Rochester, Teatr Miejski rozpisał konkurs na sztukę.. Nagrodę wziął młody autor Norman Lyon za sztukę historyczną p. t. „Błazen“ (*Clown*). Odegrali ją miejscy *community players* i sztuka odniosła sukces. Co nas to obchodzi? Oto obchodzi, bo ten Błazen to Stańczyk z obrazu Matejki i z „Wesela“. Rzecz dzieje się za Zygmunta Starego. Norman Lyon studjował dzieje Polski w bibljotece miejskiej w Rochester, cokolwiek mu pomogli rodacy i konkurs wziął.

Potem już idą pół-Polacy a pół-Amerykanie. Ryszard Bolesławski w Indianopolis napisał powieść, a ze skryptu przetłumaczyła Katarzyna Woodward: „*Way of the Lancers*“ (Szlakiem ułańskim). Książkę wydano w Indianopolis nakładem firmy Bobbs Merril, tam gdzie wyszła także książka o Polsce *miss* Grace Humphrey (*Poland the Inexplored*).

No i to byłoby wszystko. Nie wiele. Bardzo niewiele. Mało. To tylko jednak dało się skolekcjonować. Jak więc widzimy: tylko debiutanci, przygodni amatorzy, uniwersyteccy slawiści!.. Sław czy znakomitości żadnych. Nie jeżdżą „Wielcy“ do Polski tak, jak np. Hemingway raz po raz do Hiszpanji, Sinclair Lewis do Niemiec, inni do Holandji, Szwecji, a wszyscy do Paryża, gdzie zresztą i mieszkają Pound, Collins Anderson i inni.

Za epopeję Kościuszki i Pułaskiego, za Niemcewicza i za... Kajetana Węgierskiego, przyjaciela doradcę i poufnika fundatorów i założycieli Stanów Zjednoczonych (*sic! sic* panowie poloniści!) powinni nam byli jakoś tam wielcy pisarze amerykańscy odpłacić. Nie odpłacili. Za to natomiast rozkochali się w „gigantycznych“ sowietach. Elitę 120 miljonów ciągnie magnetycznie do stu sześćdziesięciu miljonów. Szeroka natura do szerokiej natury ciągnie. A niech ich tam. My nie zazdrościmy. Maluczko, a na własnej skórze przekonają się, jakie następstwa będzie miała ta perwersyjna miłość...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

— Na prawo. czy na lewo?

Bywają takie rozdroża.

Szoferzy naradzają się. Jeden, co był pojechał na prawo, wrócił i powiada, że Tardieu radzi na lewo (?).

— I nawet dobrze się składa, bo ten ma na lewo po drodze szwagra socjalistę, to on poradzi, co począć dalej.

— Bywają takie chwile historyczne, że nie wiadomo, jak się z odpowiedzialności wywikłać. Nawet teoretyk perspektywy nie wie, co będzie jutro.

— Jest przecież sposób! W kurjerku stało, że znalazł się szofer, który idzie o zakład, że z zawiązanemi oczyma poprowadzi maszynę przez całe miasto w najruchliwszej porze. Próba dała podobno doskonałe wyniki...

— Siadaj pan. Tę sztukę już znamy. Właśnie w ten sposób jechaliśmy i teraz jest kwestja — na prawo, czy na lewo?

*

Dawniej mówiło się: „Pisz do mnie na Berdyczów“, w ostatnich czasach między „sanacją“ a lewicą ustalił się adres „na Brześć n/B“. Ogólna panuje ciekawość, czy to prawda, że kursują tędy listy miłosne i czy są kwitowane. Amorkiem ma być podobno Lednicki. Znowu sprawa pokoju separatywnego.

*

Wychodząca w Krakowie „Gazeta Literacka“, wydawana przez Związek zawodowy literatów polskich, zamieszcza następujące wezwanie do inteligencji polskiej:

„Byłby już najwyższy czas *(höchste Zeit*, nasz przyp.*)*, by nasza inteligencja poczęła się interesować życiem i kulturą żydowską, ku czemu posłużyć może „Miesięcznik Żydowski“ jako dobrze redagowany perjodyk“ (nr. 7).

„Myśl Narodowa“ zajmuje się życiem i kulturą polską. Gdybyż to polscy literaci zawodowi jej zrobili taką reklamę! A przecież jest to perjodyk również jako tako redagowany...

*

Jak na język niemiecki tłumaczy się nazwa naszego „Banku Gospodarstwa Krajowego“? Powiadają że... *Bank der polnischen Wirtschaft*...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.